

T 153.4131

8962

# PRZYGODY CZYŻYKÓW

Biblioteka miejska  
nr 1604  
w Pruszkowie

przez

10346

Karolinę Szaniawską.

1040

NIE NISZCZYĆ KSIĄZEK

8962

1911  
3280  
BIBLIOTEKA  
w Pruszkowie

BIBLIOTEKA  
w Pruszkowie

WARSZAWA.

Wakład księgarni G. CENTNERSZERA—Marszałkowska 143.

1899.

Дозволено Цензурою  
Варшава 12 Октября 1898 года.



I.153.413

1956/951/8

*Chwyl*



**NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK**

~~3952~~

## ROZDZIAŁ I.

Nieco o wszystkich Łuszczakach i moje pierwsze chwile.

Powiadacie, że jestem mały? Prawda, nie mogę zaprzeczyć; ale sikorka jeszcze mniejsza — mysikrólik, to drobiazg. Bywają zatem mniejsi odemnie.

Nazywam się czyżyk.

Pochodzę z rodziny łuszczaków, do której się zalicza 300 gatunków ptasząt, nie darmo na świecie żyjących — pożytecznych.

Jaki pożytek z nas być może?.. Oho! i wielki. Ogrodnik, mądry człowiek, co kwiatki hoduje i drzewa, zginąłby bez nas. Pracujemy dla niego, pomagamy, niszcząc owady, które się karmią liśćmi drzew i roślin. Gdybyśmy tych szkodników nie wybierali jak najstaranniej,

przepadłby każdy ogród i zostałyby tylko gołe badyle.

Co robimy z niemi?.. A zjadamy!... przyznam się nawet; że są smaczne i z gustem je chrupię.

Łuszczakami zowią nas dla tego; że umiemy dziobkiem wyluskiwać ziarnka, co nie wszystkie ptaszki potrafią. Szczerze mówiąc, wiem tylko ze słyszenia o tak licznej gromadzie moich krewniaków, znam ich niewielu. Trudno, bym zapamiętał tyle nazwisk, a cóż dopiero spotkał się kiedy ze wszystkimi. Niektórzy mieszkają bardzo daleko.

Zaprzyjaźniłem się z kuzynkiem grubodziobem—sprytny on i silny. Żywi się przeważnie pestkami owoców, które wyluskuje z wielką zręcznością.

Lubię braciszka dzwońca, a jego zielono-oliwkowe upierzenie podoba mi się bardzo. O kulczyku mówił mi tatuś, że malutki nadzwyczaj i taki domator, że jak się osiedlił w dolinę Ojcowa, mieszka tam nawet zimową porą. Nie widziałem też jera, mieszkańca północy, przebywa on stale w górach. Wróbel—pustak wesoly, gadatliwy i śmiały, a pewny siebie, jak gdyby połowa świata należała do niego—toż to mój braciszek!



Oho! mądra sztuczka!

Ile rozumu w tej malutkiej główce!.. wstyd mi, gdy z nim się porównywan;—daleko mi do niego.

Wytrwały na głód, zimno i słotę, ma zdrowie żelazne, a wytrwałość niesłychaną.

Siostrzyczka makolągwa śliczną jest na swobodzie, kraśniejąca od purpurowych piórek na głowie i piersiach. Przeniesiona do klatki, traci żywość barw—ptak to miły bardzo.

Któż nie zna zięby?.. Kiedym ją pierwszy raz w lesie zobaczył, powiedziałem, że jest brzydka; szara i niepozorna, ma tak przyjemny głosik i żywe usposobienie, iż niedługo ją polubiłem.

Szczygieł śpiewa ładnie i z zamiłowaniem; darłby się od rana do nocy. Ludzie spostrzegli, że nie brak mu sprytu i wyuczyli go różnych sztuczek.

Pochodzący aż z Afryki, krewniaczek mój, ładne ptaszę i prawie pierwsorzędny śpiewak,—kanarek,—podoła mi się również.—Lecz nie zaznajomiłem się z nim bliżej—nie było sposobności. Nawykły do ciepłych krajów, zmarniałby u nas, gdyby go obdarzone wolnością. Zmiedoleźniał, rady sobie dać nie po-

trafi—u ludzi dobrze mu, szczęśliwym się czuje. Musi być bardzo piękny w stanie dzikim, gdy powiadają, że ten, oswojony, ani podobny nawet.

Większość tych ptaszków była mi obcą w pierwszych latach życia—nie znałem też lasu, ani rzeki, w której dziś z rozkoszą się przeglądam. Gniazdko, w którym przyszedłem na świat, znajdowało się wysoko, w drugim, dużym gnieździe, zamieszkanem przez ludzi. Myślałem, że to jakieś straszne stworzenia. Później, porównywając z ptakami, dostrzegłem, że jak one, ludzie mają dwoje oczu, niżej zaś dziób wielki, który służy bezpożytecznie, gdyż nim nie jedzą ani śpiewają. Do jednego i drugiego służy ludziom szeroka brama, opatrzona białymi szczeblami. Wrzucają do niej moc pokarmów, z niej też dobywają głosu, który mnie długo strachem przejmował.

Skrzydła ludzkie są długie, doskonałe wyrobione, a jednak o fruwaniu nie może być mowy. Na końcach skrzydeł palce, po pięć przy każdym.

W wielkiej klatce mieszkało ludzi ośmioro: dwoje starszych, trzech wy-

rostków i troje dzieci—najmłodsze pisklę bardzo wrzaskliwe.

Gospodarz, jak go tam nazywali, miał na głowie upierzenie dosyć liche—pewno go kto oskubał—pod dziobem jednak piór obfitość. Gospodyni posiadała czub ogromny, co przy dużym dziobie ślicznie było. Śpiewała od rana do wieczora, czasem późno w noc. Nie lubiłem, gdy zaczęła zbyt głośno śpiewać, a gospodarz najczęściej wyskubaną głowę przykrywał i wychodził z dużej klatki.

Ten człowiek budził we mnie strach... co wyrabiał!.. Bił i bił jakiś drobny przedmiot—dowiedziałem się później, że to skóra—smarował, drapał, wbił koleczki małe, aż mu pot z czoła płynął kroplami. Przychodzili do niego obcy ludzie, nogi im oglądał, a ledwie za próg wyszli, znów nieszczęśliwą skórę drapał.

Trząsałem się z obawy, aby mnie tak samo nie wziął w swoje ręce.

Jednego dnia, gdy rozumiałem już potrosze ich mowę, wchodzi jakaś mała dziewczynka i śpiewa cieniutkim głosem:

- Czy tu mieszka szewc, Musiałek?
- Tutaj, odpowiedziano.
- Przyszłam po moje trzewiczki.

Ukazała się gospodyni i podała zaraz dwa dziwne naczynia. Dziecko siadłszy na krześle, pod oknem, włożyło je na nogi.

— Dobrze?

— Doskonale! nie a nie nie cisną; wygodne bardzo. Dziękuję pani majstrowej.

Tupiąc nóżkami, wybiegła uszczęśliwiona, zostawiwszy na stole parę brudnych, zmiętych szmatek. Gospodyni wzięła je ze stołu i schowała do kieszeni. Mój gospodarz ubierał ludziom nogi, zwano go za to szewcem, Musiałkiem. Do takich wiadomości przyszedłem zwolna i rozumiałem niewiele.

Opodal naszego gniazdka, umieszczonego na piecu, znajdowała się gromada różnych ptasząt. Tuż przy mojej mateczce, która tuliła skrzydełkami mnie i dwóch braciszków, siedziała druga, również troskliwa mamusia, ale piskłał jeszcze nie było. Dopiero miały się wykluć z jajek. Dalej znowu przysiadła czwórka mądrych szczyglątek, świergoczących bez wytchnienia.

Ponieważ byłem małej i niedoleźny, musiałem ciągle siedzieć w klatce; to samo robili moi braciszki. Mama

i tatuś dostarczali nam słodkawych ziarenek, pamiętając pilnie o naszych potrzebach.

Było nam tam dobrze, tylko, gdy szczygły rozdokazywały się zanadto, kurz szedł do oczu, że ledwie widzieliśmy jedni drugich.

Powoli, mama i tata nam próbować skrzydeł—ojczulek dziobnął z gniewem najmłodszego malca za upór i ociężałość, następnie puściliśmy się na okno, do klatki, gdzie dla wszystkich była woda i jedzenie. Z wielką radością obstały nas dzieci; starsza dziewczynka klasnęła w ręce i chciała mnie ująć, czego się bałem. Ale szewc krzyknął:

— Ptaków nie ruszać!

Krzyknął tak ostro, że dziewczynka opuściła ręce, a my chcieliśmy uciekać i dopiero ochłonawszy, wzięliśmy się do jedzenia.

— Bierz ziarnko, wołał ojczulek. Teraz łupinkę otwórz, ale rzuć ją; no, rzucaj! Łupinki się nie jada.

Łatwo powiedzieć!... po długich dopiero usiłowaniach dałem temu radę, zmęczony, jak gdyby największą pracą. Tatuś powtarzał:

— Tak, tak, dobrze! będzie coraz lepiej. Karmiliśmy was wszystkich oboje z mamą; gdy już umiecie fruwać, starajcie się sami. Jeszcze parę ziarenek, a wprawa przyjdzie, ani się spostrzeżesz.

Słusznie mówił tatuś.—Zanim nadszedł wieczór, niejedna łupinka leżała pusta; byliśmy pożywieni własnym trudem i bardzo z tego kontenci. Nazajutrz zaczęła się nauka. Chrapliwe dźwięki, dobywane z naszych gardziolków, to nie śpiew przecież;—trzeba inaczej dziobek otwierać, ustawiać szyjkę—całkiem inaczej. W tem jedynie tatuś mógł nam dopomódz; mamusie—czyżyczki nie śpiewają, głos ich mniej bogaty—świergoczą tylko.

— Do nauki! do nauki! wołaliśmy razem z tatusiem, który czasu tracić nie lubił i z wielką chęcią wzięliśmy się do dzieła. Ja miałem zdolności nadzwyczajne; braciszku nie mogli mi dorównać, choć szczerze pracowali. Wkrótce śpiewałem tak samo, jak tatuś, a mateczka pyszniła się synkiem.

## ROZDZIAŁ II.

### L i l i i.

---

Zaprzyjaźniłem się z mieszkańcami dużej klatki, którzy dawali nam jeść i mieli nad nami opiekę; polubiłem bardzo dwie dziewczynki, Marcysię i Nastkę, a nawet krzykacza, Jasia. Kochana trójka zostanie mi zawsze w pamięci.

Marcysia bawiła się czemś, co nazywała lalką. Nie był to ani ptak, ani zwierzę, ani w ogóle stworzenie żyjące;— podobne do dziecka, nie ruszało się ani mówiło, nie jadło też nigdy, choć Marcysia utrzymywała, że mu jeść daje. Nacieszyszy się lalką, dziewczynka obie-  
rała kartofle, gotowała w malutkim garnuszku, przyprawiała, a później częstowała każdego. Jadłbym i ja był chętnie



potrawy, przyrządzone ręką Marcysi, lecz mama powiedziała, że mogłyby mi zaszkodzić. Łykałem ślinkę patrząc, jak dzieci zjadają ze smakiem, lecz trudno—musiałem słuchać mamy. Ona wie najlepiej, co dla nas dobre, a co szkodliwe. Marcysia wołała nieraz: czyżulka, chodź—dam kapusty, może lubisz groch? wybornie okrasiałam. Ja odpowiadam krótkim ćwierkaniem, co w mojej mowie znaczy: dziękuję panience.

Pewno rozumiała, gdyż uśmiechała się, spoglądając w moją stronę i zmywała maleńkie talerzyki. Wszyscy dowodzili, że Marcysia ma dobre serce—chętnie temu wierzę. W jej spojrzeniu było tyle słodyczy i łagodności, w każdym odezwaniu uprzejmość, że kochać się kazala. To też gdy chciała kiedy pobawić się z którym ptaszkiem, przybiegał na pierwsze zawołanie.

Miała dla nas wszystkich pieszczotliwe nazwy: ja byłem Cizio, średni mój bracišek Tłuś, a młodszy Milutek. Przyzwyczajiliśmy się wkrótce do takiego odróżnienia, tylko Milutek przez pewien czas nie mógł nawyknąć i nie słuchał naszej młodej pani. Dziki trochę malec, później wszakże nabrał rozumu. Nastka,



parę lat starsza od Marcysi, nadzwyczaj swawolna i żywa, nie potrafiła przez chwilę na miejscu usiedzieć. Od rana do nocy strofowała ją szewcowa—ledwie głos jej umilkł—oho! nie ma już Nastusi. Wesolym śmiechem często budziła małego;—pierwsze wyrazy, jakimi witała siostrę, wracając zgrzana i zmęczona, brzmiały najczęściej:

— Marcysiu, nie masz tam co jeść?

— Nastusia przyszła w samą porę, żartował Franek, jeden z trzech chłopaków, którzy szewckiej roboty się uczyli. Jest właśnie kielbasa—wyborne jedzenie... palce oblizywać, jakie jedzenie!..

— Gdzie? gdzie? pytała dziewczynka, otwierając szafę.

— Kiedy mówię że jest, to jest na pewno.

Nastka się gniewała.

— Gadaj, Franek, prędko! krzyczała, szukając w piecyku. Znalazła tam tylko ryneczkę z kaszą.

— Um... um... miłasko! językiem chłopak.

— Czy powiesz mi nareszcie?

— Powiem—dlaczegoż nie mam powiedzieć!

— Gdzie? mów prędko!

— U rzeźniczki na rogu! wołał parskając śmiechem i uciekał spiesźnie.

Innego razu śpiewał, szydząc ze zmęczonej i głodnej Nastusi.

Zjadłbym śledzia z główką  
I konia z podkówką,  
Całą kopę raków  
I korzec ~~ziemniaków!~~

Podobne żarty miały jednak miejsce tylko wówczas, gdy Musiałków nie było w domu. Szewc wychodził za swojemi sprawunkami, szewcowa za swojemi.

Najśmieszniejszy wydał mi się mąły Janek, pisklę, które budziło nas po nocach, wrzeszcząc i grymasząc. Matka miała przy nim dużo pracy: nosiła, kołysała, to znów kąpała lub karmiła. Gdy krzyczał, Marcysia bardzo czule odzywała się do niego, Nastka zaś groziła, tupiąc nogą.

— Cicho, bębnie!

Musiałkowa do złości łatwa i ostra dla wszystkich, pokorniała przed niedołągą—nic a nic tego nie rozumiem.

Skarcony poprawiłby się pewno i uciszyl—całowany, pieśczoney coraz więcej zuchwalstwa nabierał. Czasem,

aby go ulagodzić, chwytało pierwsze z brzegu ptaszę i pokazywano krzykaczowi. Jaki był zabawny!... Wyciągał obie ręce i szeroko otwierał buzię. Tłuś, znalazłszy się blisko niego, pewnym był, że zostanie zjedzony, zaczął więc tak przeraźliwie piszczyć, że aż mamusia przyfrunęła na ratunek, puścili zaraz Tłusia, który nam później opowiadał, że ledwie uniknął śmierci. Nie wierzyłem temu, gdyż widziałem, że mały jeść nie umiał—pił tylko i pił ciągle. Jakby mógł zgryść ptaszka! Mama zapewniała, że Jasio ani myślał o czemś podobnem.

— On nie jada, tłumaczył tatuś—bardzo jeszcze mały.

— Nie jada?... nie umie jeść? pierwszy raz słyszę coś podobnego! zawołał mój braciszek.

— A przypatrzyłeś mu się dobrze?

— No—tak....

— Co spostrzegłeś?

Tłuś nie umiał odpowiedzieć.

— Co zauważyłeś, gdy buzię miał otwartą?

— Nie wiem—nie wiem wcale. Myślałem, że mnie chce połknąć i...

— Gdybyś dobrze patrzył, znalazłbyś....

— Aha! przerwałem, prawda, prawda!

— Co takiego?

— Wiem tatusiu. Mały Jaś nie ma zębów.

— Widzisz—Nie mając zębów, gryść nie może i zadawalnia się pożywieniem płynnem.

• — Ja też nie mam, odparł Tłuś.

— My, ptaki, co innego. Twardy dziobek nie tylko zastępuje nam brak zębów, lecz rozmaite narzędzia, któremi człowiek przy jedzeniu posługiwać się musi. Widziałeś jabłko, piękny i smaczny owoc? Bywa ono nieraz bardzo duże, a jednak, duże czy małe, damy mu radę: dziobiąc porozbieramy na części. Daj człowiekowi coś tak wielkiego, jak wielkiem jest jabłko dla nas, musi pokrajać, inaczejby nie zjadł wcale.

— Aha! zawołał Tłuś—my jesteście zuchy! Niedolędzie Jasiowi powiem kiedykolwiek, że wstydzilbym się czekać, aż mi jedzenie do dzioba podsuną.

— Daj pokój. On nie zrozumie, a gdyby zrozumiał, byłoby mu przykro. Czy twoja w tem zasługa, że prędko się rozwijasz, lub jego wina, że tak długo jest bezradny?..

Rozmowy naszej słuchała Lilli, mała czyżyczka, najmłodsze dziecko przyjaciółki i krewniaczki moich rodziców. Lilli jest ładna, wesola przytem i dobra—bardzo ją lubię.

— Napilabym się wody, ówierkneła, zbliżając dziobek do miseczki stojącej w klatce. Napilabym się chętnie, ale woda brudna, pełno śmieci. Dlaczego zamiast rzucać łupinki na ziemię, wszyscy przez nieuwagę do wody je sypią?

— Grymaśnica! śpiewał Tłuś.

— Wcale nie grymaszę, odparła Lilli. Tylko brzydę się brudem i, gdyby odemnie zależało, musielibyście dbać o porządek w korytku z ziarnem i naczyniu z wodą.

— Pewno zabierzemy się do miotły, jak gospodyni.

Lilli patrzyła żałośnie w stronę dzbanka, znajdującego się na półce.

— Tam to dopiero woda! mówiły jej figlarne, a obecnie zasmucone oczy. Przezroczyta, zimna, pewno i dobra.

— W dzbanku wody nie brak—polemy prędko.

— Boję się...

— Nie bądź taka dzika—nie nam.

się nie stanie. Widzisz, przez tę chwilę mogłabyś się napić.

— Nie żartuj ze mnie, kwiliła czyżyczka—bardzo się boję... Ani sama nie pofrunę, ani tobie nie dam. Oh! świergotał żartobliwie Tłuś—bardzo mądra i przeznorna, jednak od swego nie odstąpi.

Czyżyczka spojrziała na miseczkę z wodą brudną, pełną śmieci, a złośliwy mój braciszek nie przestał z niej żartować.

To mnie rozgniewało.

— Za chwilę będzie świeża woda w klatce, rzekłem do Lilli—będzie na pewno.

— O, mój kochany!

— Przyniesie w dziobku!.. zawodził Tłuś.

— Jakim sposobem jej dostarczę, ty się nie kłopotz.

— Kiedy mówi, że woda będzie, dotrzyma słowa.

— Ciekawy jestem jak... Obiecać łatwo, ale wypełnić trochę trudniej.

Miałem plan gotowy, nieszczęście wszakże, Marcysi nie było. Nastka wyszła również, a choćby znajdowała się w mieszkaniu, słaba z niej pomoc. Rozejrzałem się z niecierpliwością—Tłuś ocz-

kami mrugał i udawał, że patrzy w inną stronę. Od czasu do czasu zerkał na czyściczkę.

Położenie stawało się bardzo przykre.

— Co zrobię? co zrobię?

Moja przyjaciółka fruwała na piec, Tuś żartował i przyśpiewywał:

— Mądrała! mądrała!

Zostałem zarozumiałcem, który przyrzeka, czego zrobić nie potrafi... ach, jaki wstyd sprawię rodzicom. Gdybym mógł, marzyłbym się głośno, niby małe piskłe szewcowej.

— Wody, ach, wody!

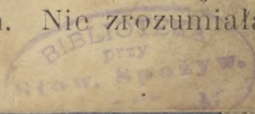
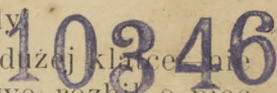
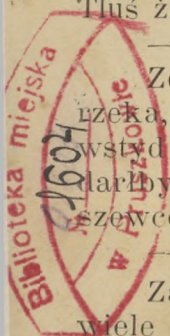
Zacząłem latać po dużej klatce—nie wiele brakło, bym głowę rozbił o piec lub szafę. Jak gdyby uciekając, zataczałem szerokie koła, lub spadałem niżej, to kręciłem się w górze u sufitu.

— Czyżyk oszalał! huknął mi w ucho Franek.

Przysiadłem na gałązce jakiegoś kwiatka—wystraszone oczy Marcysi spotkały się z moimi.

— Ciziu, zawołała słodko, mój biedny, maleńki ptaszku—co ci jest?

Przypadłem do dzbanka—z całej siły uderzać weń zacząłem. Nie zrozumiała.



Wyciągnąłem szyję i zanurzyłem lebek w ciemnej przepaści. Marcysia aż krzyknęła ze zdziwienia.

— To mądry dopiero! Chce się napić—przyleciał tutaj prosić o wodę! Slicznie, pięknie! zaraz dam wody Ciziowi—zaraz, mój ptaszuniu.

Miseczka, wmyta dokładnie została napełniona świeżą wodą, a ja poleciałem do Lilli. Była serdecznie rada, Tłuś milczał, a wszystkie ptaki chwaliły mój rozum.

Będiesz miała siostrzyczko pociechę z syna, wołał szczygieł, ćwierkając radośnie.

— Zuch! wielki zuch!

— Zkąd mu przyszedł pomysł? dziwiły się młode czyżyki i szczygiełki.

Makolągwa kręciła głową, zamysłona bardzo, a jej towarzysz dziobnął z gniewem starszego synka mruczając:

— Tybyś tak nie potrafił, dudku szkaradny!



5845

### ROZDZIAŁ III.

#### Nieprzyjaciele ptaków.

Lilli miała dwie siostrzyczki, Flu i Mię, oraz braciszka, pięknego czyżyka, Pila; szczygielkowie odchowali już swoje dwie parki, a pięcioro makolągwiątek dopełniało towarzystwa. Żyliśmy w zgodzie nadzwyczajnej;—nie pamiętam, by przyszło kiedy do kłótni; krzyku jednak i gwaru było dosyć, gdyśmy się rozspiewali chórem. Często myśląc, że to sprzeczka lub nawet bójka, gospodarz wołał:

— A cicho, a zgodnie tam, ptaki!

Musiałek zabierał się do roboty bardzo wczesnym rankiem, odmówiwszy modlitwę do Boga, Stwórcy wszystkiego, co na świecie się znajduje. Słuchaliśmy zdziwieni i zachwyceni... Ten Stwórca potężny i wszechmoen<sup>o</sup> jest przytem

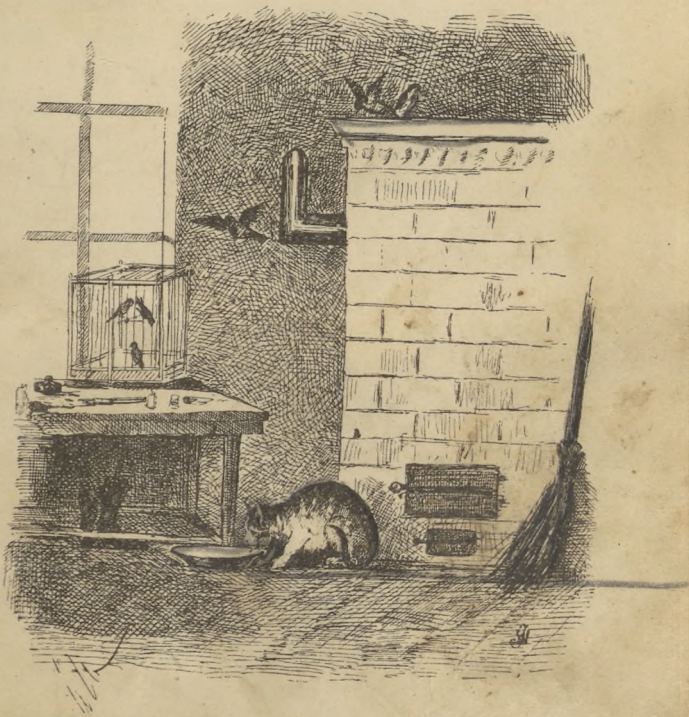
taki dobry!—najmarniejszego robaka nie pominię, nad każdym ma opiekę. Cześć Mu—cześć! zaśpiewaliśmy pewnego razu i później zawsze wtórowaliśmy szewcowi, gdy piękną modlitwę odmawiał. Szewcowa kręciła się przy kominie, to znów musiała kołyskę poruszyć, potem budziła dziewczynki, które klękały zaraz przy łózkach. Tylko Jasio o niczem nie wiedział, gdyż był zajęty bardzo; przybyło mu śmieszne zatrudnienie. Wyciągnąwszy się jak długi, oglądał z ciekawością własne rączki i nóżęta, a huczał niby bąk: bu-bu-bu.

Szewcowa obsypywała go pocałunkami, chłopak śmiał się i coś do niej gwarzył. Na widok wąsów ojcowskich, oczy wytrzeszczał, lecz gdy go czasem szewc musnął po buzi, krzywił się do płaczu.

W dnię poświęcone odpoczynkowi wszyscy wychodzili z domu. Około południa szewcowa przyrządzała obiad naprędce, a niekiedy i bez obiadu się obeszło;—później przez kilka godzin mogliśmy gospodarować po całym mieszkaniu. Wieczorem szewc śpiewał bardzo piękne pieśni.

Czasami towarzyszyli mu goście,

2. 1/2



Nieprzyjaciel-prześladowca ptaków.

СИБИРСКАЯ  
БИБЛИОТЕКА  
ИМ. А. С. ПУШКИНА  
ИРКУТСК

zwykle przyjmowani gorącym napojem, którego spróbowałem trochę i wydał mi się szkaradny. Oni śpiewają, my świergoczemy, czas płynie wesoło—dopiero gdy które z młodszych oczęta mruży, wołamy ze zdziwieniem: no, patrzcie—toż to noc! Mateczki na piec nas wyganiają, tłomaczą, że tam zaciszniej—ale kto już główkę pod skrzydełko schował, nie daje się namówić. Piórka nastroszone, główka zginęła—maleńki śpioch wygląda jak klębuszek.

Mylili by się jednak, ktoby sądził, że mając wszystko, czego nam potrzeba, zajmowaliśmy się tylko figlami i zabawą. Bardzo przepraszam! część dnia schodziła na nauce.

— Dzieci kochane, mówił, naprzykład, pewnego razu tatuś, ciężko jest obznajmiać was, tak małych, z krzywdą i niesprawiedliwością, lecz dla waszego bezpieczeństwa, jako starszy, zrobić to muszę. Wiedźcie, że ptaki nie wyrządzające nic złego nikomu, mają mnóstwo nieprzyjaciół.

— Nieprzyjaciół!.. okropność! powtórzyliśmy ze strachem.

— Mamo! tatku! krzyknęła Mia, kry-

jąc się pod skrzydelko starej czyżyczki. Ja się boję.

— Cicho, cicho—słuchajcie, uspokajał szczygiel. To, co mądry czyżyk powie, przyda się każdemu; niech mówi, niech dokończy.

— Tak, dzieci kochane, dodał tatuś, bardzo blisko, bo w tem mieszkaniu znajduje się nasz prześladowca, który, aby tylko miał sposobność, zje biedne ptaszę i kosteczki nie zostawi.

— Oh! oh! uciekajmy! wrzasnął Tłuś.

— Na piec! na piec! zapiszczała Mia.

— Uspokójcie się, moi drodzy, ówierknęła Lilli. Zamiast hałasować, spytajmy, gdzie jest to szkaradne zwierzę, byśmy je poznali i strzedz się mogli.

Ten i ów zabierający się do ucieczki opuścił skrzydelka;—zrozumieliśmy, że młoda czyżyczka ma słusność. Gwar nie zarzucono pytaniami tatusia.

— Gdzie on jest?

— Jak się nazywa?

— Pokaż go nam, pokaż!

Tatuś czekał chwilę, aż wszyscy się uspokoją i zaczną słuchać uważnie. Ja, po części ze strachu, trochę z ciekawości, przysunąłem się bliżej.

— Patrzcie, rzekł, jak gdyby zapomniawszy, o czem była mowa, ile stworzeń ten szewc poczciwy karmi swoją pracą, ile misek musi przygotować szewcowa.

— Wielka rzecz! zaświergotała szczyglica, lubiąca klótnie — własnym dzieciom dają i sami jedzą.

— A chłopaki?

— Chłopaki są do roboty, więc jeść im dać trzeba.

— Tam, w kącie, jakieś białe stworzonko oblizuje talerz—dorzucił Tłuś.

— Napatrzeć się nie mogę! zawołała Mia—takie wesołe i zręczne!.. skacze leciuteńko...

— I białą łapką zabawnie się myje! wołał Milutek—Bardzo go kocham.

— To on.

— Kto? kto?

— Nieprzyjaciel ptaków.

— Tatko żartuje, zaświergotał Tłuś. Milszego stworzenia niż biały mrucek, dotąd nie widziałem.

— Ten biały mrucek (ludzie go zowią kotem) używa na złe swego sprytu i zręczności. Chociaż jeść mu dają, by tepił myszy, szkodnice ogromne, on i za

myszami się uganiana i nie daruje ptakom. Gdy w nocy, schowawszy główki pod skrzydelka, głębokim snem zasypiają, skrada się na drzewa i bezbronny drobiazg dusi. Zęby ma ostre, ze wszystkich pokarmów najbardziej lubi mięso, raczy się też mięsem ptasząt.

— Oh, niedobry! niegodziwy!

— Szkaradne kocisko!

Tak dogadywaliśmy mrucekwowi, który jadł spokojnie kaszę z mlekiem. Oblizywał się co chwila, widać mu smakowała. Rzeczywiście, miał on wygląd bardzo poczciwy, rad byłem nieraz zbliżyć się do niego i zaprzyjaźnić. Od tej chwili strzedz się będę.

— Najwięcej mamy wszakże wrogów pomiędzy ptakami, dodał stary szczygiel.

— Ptaki żywiące się mięsem ptaków! krzyknęła Lilli.

— Tak, ptaki. Trudno policzyć, ile ich zjada jastrząb rabuś, na którego widok wszelkie ptaszę ucieka z wrzaskiem i chowa się, gdzie może.

— Pewno jest ogromny? pytał Tłuś.

— Dość duży, barwy popielatej lub ciemno-szarej—dziób ma krótki i zakrzywiony, skrzydła również krótkie, do



połowy ogona sięgające, lecz szerokie i zaokrąglone, nogi wysokie z długimi palcami o pazurach nadzwyczaj ostrych.

— Rabuś od urodzenia z takimi pazurami i dziobem—dorzuciła makołagwa.

— Tak — tak... śmiały jest przytem, bardzo wytrwały i uparty niesłuchanie.

— Gdzie mieszka?

— W lesie, moje dzieci. Gnieździ się na drzewie i składa jajka niebieskawo-białe, lub też z plamami rdzawymi.

— Kochany braciszku, spytała makołagwa, czy znasz jastrzębia gołębiarza?

— Widziałem go nieraz, zaświergotał szczygieł. Bo, moi kochani, trzeba wam wiedzieć, że jastrzębie bywają różne. Tak zwany gołębiarz, karmi się zwierzyną i ptactwem domowem;—łatwo zrozumiecie, jak jest silny, gdy na takie duże sztuki się porywa. Naszym znowu szczególnym nieprzyjacielem jest jastrząb krogulec. On tępi ptaszki drobne.

— Niegodziwy! piszczała Mia żalonym głosem.

— Lecz pewno, mężulku, nie znasz kruka! zawołała szczyglica, pchając się w sam środek naszej gromadki.

— Czy to także ptak? pytał Tłuś.

— Mamo, mamó, prosił Milutek, opowiedz nam o kruku.

— Znam go niewiele, odparła nasza mamusia—widziałam tylko kruka oswojonego. Platał on figle, zabierał wszystko co zobaczył, a mógł udźwignąć, i chował po kątach, z czego były nieraz w domu przykrości, gdy zginęło nagle coś kosztowniejszego lub potrzebnego. Słyszałam, że w stanie dzikim kruk jest żarłoczny i drapieżny, lecz mój znajomy takim nie był.

— Nazywają go przecież wilkiem pomiędzy ptakami, wtrąciła makolągwa.

— Straszna rzecz spotkać kruka... br... zimno mi się robi! zawołał szczygieł.

— Całe jednak szczęście, że nie jest bardzo zwinny i rzadko kiedy chwyta w locie zdobycz.

— Ale nadzwyczaj silny... oh, moi drodzy! a jaki przytem śmiały!.. Nie dość mu ptaków ledwie trochę mniejszych od niego, rzuca się też na zwierzęta. Czasem zmawiają się we dwóch na zającą, zwierzę mocne i duże.

— Nie tak znowu duże!

— O wiele większe niż biały mru-czek.

— Większe od mruczka? dziwił się Tłuś. Toż ogromne, moi kochani!

— Dwa lub trzy razy większe, bo mruzek młody kociak.

— Gdybyście też wiedzieli, dodał szczygiel, jak małe kruczęta są brzydkie—szkaradne! Żarłoczne przytem, nigdy im dość jedzenia. Stare znowu mądre i ostrożne, podczas wysiadywania jeszcze bardziej się pilnują. Ukryty w pobliżu gniazda, kruk ostrzega towarzyszkę, gdy jej cokolwiek grozi, ona też, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, ucieka natychmiast.

— Ucieka i zostawia małe?

— Tak. Potrafi nawet zupełnie gniazdo opuścić. Kruki, choć przywiązane do swojej dziatwy, życia dla niej nie narażają, wolą pisklęta zagłodzić, niż wybiedz po żywność, gdy lękają się wypadku.

Przygarnąłem się do mamy... Moja dobra, poczciwa mamusia takby nie zrobiła! wolałaby zginąć, niżeli męczyć nas głodem—i tatuś również.

— Gdy im nie grozi, opowiadał szczygiel, w godzinach południowych, kruk zasiada w gnieździe, a jego towarzyszka idzie się kąpać.

— Kruczęta, dodała szczyglica, wy-

bornie są karmione. Ileż zjedzą owadów, robaków, myszy, ślimaków, piskląt a nawet zajączków!.. Rodzice żer drobniejszy przynoszą im w gardzieli, którą tak napelniają, że aż pod dziobem sterczy gula, większy zaś w dziobach lub szponach. Żarłoczne kruczęta ciągle jeść wołają, a gdy im ojciec albo matka żywności dostarczy, kraje ją ostrym dziobem na kawałki, szponami przytrzymując.

— A'e też chyba kruki służą za pokarm ludziom? dopytywał Tłuś. Muszą być tłuste i smaczne.

— Gdzie tam! Choć przywykły od małego do dobrych kąsków; zaprawiwszy się na ślimakach, glistach i żukach, kruk zjada następnie myszy, krety, zajączki młode i skrzeczki, a półroczny ledwie, jest już rabusiem skończonym, nigdy bryłki tłuszczu na nim nie ma.

— Widać żarłoczność nie idzie mu na zdrowie, wtrącił Tłuś.

— Ale go zabezpiecza, odparła rozważna Lilli.

— Masz słusność, chwalił szczygiel—zabezpiecza go doskonale. Mięso żyłaste i twarde stanowi obronę bardzo silną. Nasz krewniaczek wróbel, a nawet skowronek idą na pieczyście, kruk

zaś może być spokojny, bo ludzie nie chcą go spożywać.

— Radbym wiedzieć, po co kruka oswajają? pytał Tłuś. Może dla śpiewu.

— Śliczny śpiew! zartował szczygieł—aż uszy bolą słuchać.

— Nie dla śpiewu zatem, ani dla mięsa...

— Doprawdy nie pojmuje... człowiek wszystko przygarniać lubi... Aha! kruki podobno wyuczają się mowy ludzkiej.

— Patrzcie! jakie mądre!

— Krzywdzą drugich, co taki rozum znaczy!

— Trzeba wam wiedzieć, opowiadał w dalszym ciągu szczygieł, że kruk jada też padlinę, czem, w każdym razie, pożytek przynosi.

— Jaki pożytek, wujaszku! dziwił się Tłuś.

— Gdyby padliny nie uprzątął, gnilaby w lasach; to przykre i niezdrowe, zdaleka ją poczuje i przyleci. Nawet dostrzegłszy ranię zwierzę, pilnować ma zwyczaj. Krąży, głośno kracząc, a gdy życie przestało, gromady swoich braciszków woła na ucztę.

— Okropność!.. kwiliły ptaszki żalownie.

## ROZDZIAŁ IV.

### F r a n e k.

---

W warsztacie Michałka pracowało trzech chłopaków, którzy dopiero szewctwa się uczyli. Młodszy: Adam i Tomasz umieli bardzo mało, Franek zaś znał się cokolwiek na robocie, lecz był próżniakiem. Gdy majster w domu siedział, szło jeszcze jako tako, gdy wyszedł, Franek robotę rzucał, siadał na sofce pod oknem i krzyczał, grożąc młodszym.

— Ja teraz pan—mnie słuchać!.. albo bić będę, ile się zmieści.

Innym znowu razem, przykazuje ostro Tomkowi:

— Łatkę mi do buta przyszyć! Tomek—rozumiesz?..

— Nie mam czasu, odpowiada wy-

straszony chłopiec. Służąca z pierwszego piętra przyjdzie po swoją naprawkę.

— Przyjdzie? bardzo pięknie!.. Poprosisz, żeby odpoczęła, a tymczasem zrób, co mówię.

— Nie żartuj.

— Weale nie żartuję, rybko droga. Moje najpilniejsze, potem do cudzych trzewiczków się zabierzesz... nie uciekną, kochanku, nie uciekną!

To powiedziawszy, zabiera trzewiki, a gdy Tomek chce mu je wyrwać, woła, tupiąc nogą.

— Nie oddam, ani myślę, mój but musi być pierwszy.

Spiesz się—majster w mieście długo nie zabawi, panna Agata też przykazywała...

Tomek zaczyna but naprawiać, a niedobry Franek wyjmuje z kieszeni cieniutkie papierki; sypie na nie jakiś proszek, skręca, następnie kładzie do ust i zapala.

Gdy wciągnąwszy w siebie dużo dymu, buchnął nim na nas, czem wszystkie ptaszki przeraził, a znajdującym się bliżej chwilowo przytomność odebrał, był uszczęśliwiony. Aż podskakiwał z ukontentowania.

— Głuptasy! wołał—marne głuptasy! nie wiedzą, co smaczne. Jabym was dopiero nauczył rozumu!

Franek budził we mnie trwogę—zmykałem przed nim, co go gniewało zawsze.

— Twój Cizio, rzekł raz do Marcysi, to największy dzikus między tą całą ptasią hołotą.

— Nie zajmuj się nim, odparła dziewczynka—pilnuj swego. Ojciec jest zły na ciebie; słyszałam, jak mówił do mamy, że miarka się przebrała. A ojciec, jak wiadomo, nie lubi żartować.

— No, proszę!.. panna majstrówna wyjeżdża z kazaniem—śmiał się Franek. Sługa uniżony—co pani dobrodziejka rozkaże? dodał, kłaniając się i niby czapkę zdejmując. Powiada pani, żebym pracował? owszem, bardzo chętnie. Na początek myślę zrobić porządeczek między temi pięknymi stworzonkami.

To powiedziawszy, wziął z kąta miotłę i, biegając po mieszkaniu, zaczął nią wymachiwać na różne strony. Porwaliśmy się wszyscy do ucieczki, ale zagroził nam drogę do pieca; tylko mała Flu zdążyła przefrunąć, my zaś w popłochu szalonym pędziliśmy przed siebie,



aby za chwilę, wystraszeni jeszcze bardziej, na to samo miejsce wrócić i znów uciekać i kołować w dalszym ciągu.

Marcysia, zalana łzami przypadła do Franka; chwyciwszy go za ręce, szarpnęła całą siłą, nie mogła mu jednak wyrwać miotły. Chłopak śmiał się głośno.

— Toż pracuję, panienko złota, wołał ucieszony, robię porządek!.. Trzeba wypędzić tych darmozjadów, a jeśli nie wszystkich, to choć połowę—Owszem, owszem, najchętniej powypędzam. No, karaluchy, w drogę!

Dziewczynka wybiegła z mieszkania płacząc;—zostaliśmy sami.

— Wymorduje nas wszystkich! wymorduje! zawodził szczygieł.

— Ale zginiemy razem! piszczała makolągwa—przynajmniej razem!..

— Jest z czego się cieszyć! świergotał Tłuś. Gdybym mógł zemknąć, byłbym najszcześniejszy.

— Lecz gdzie? którądy? wołaliśmy rozpaczliwie. Niech kto ze starszych drogę wskaże, pójdziemy za nim.

Drogi bezpiecznej nie było, gdyż Franek miotłą machał i groził nam ciągle.

— Zginiemy! zginiemy!

Ale chłopak zląkł się widać, by kto z sąsiadów nie nadbiegł na prośby Marcysi i miotłę opuścił. Ledwie zdążyliśmy przypaść do pieca, siedział zajęty robotą.

Gdy majster wrócił, Marcysia opowiedziała mu wszystko. Rozgniewał się i wziął z kołka dyscyplinę, srogie narzędzie do bicia.

— Ach, panie majstrze, złoty panie majstrze! wołał Franek, już nigdy nie będę, nigdy w życiu!

Szewe, dobry człowiek, dał się ublażyć i dyscyplina w kął poszła i przez jakiś czas później, Franek nie patrzył wcale w naszą stronę, tylko Marcysi groził. Dziewczynka się śmiała.

— Co mi możesz zrobić?

— Zobaczysz, zobaczysz!

— Zaciekawiasz mnie, mój kochany.

— Policzymy się raz, ale dobrze, ty skarżycielko niegodziwa!

— Dałbyś pokój, mówił do niego Adam—po co te wszystkie krzyki!

— Cicho bądź!

Adam umilkł i zajął się robotą, a Tomek, śmielszy trochę od pewnego czasu, szepnął:

— Strach, strach mój bracie—pan

Franciszek się rozgniewał, gotów nas wypędzić.

Franek poczerwieniał. Nie wiem, co byłoby zaszło między nimi, ale ktoś obcy do drzwi zastukał i kłótnia się przerwała.

— Porachujemy się, porachujemy, mruknął Franek. Mam pamięć dobrą.

Spojrzał na nich groźnie, czego nie spostrzegli, i pracowali dalej.

— Unikaj go, dziecko drogie, rzekła do mnie mama. To chłopiec zły i mściwy.

— O, tak, mamó, wiem—powinniśmy wszyscy dobrze się pilnować.

— Szczególniej, gdy kogo ze starszych nie ma w mieszkaniu, dodała mateczka.

— Bardzo cię proszę, zawołał tatuś—nie strasz mi dzieciaka! Kogo ma unikać, przed kim się ukrywać?.. Strach to zły towarzysz—odbiera przytomność, i do zguby wiedzi. Przestań myśleć o niebezpieczeństwach—pogrożki nie znaczą. Mamy opiekę ludzi dobrych, żywność i kąt do spania, teraz gdy nadchodzi jesień, to bardzo wiele. Bądź śmiałym synku i wesołym—lataj, śpiewaj, nie smuć się bezpotrzebnie.

Mamusia ucichła, wiedząc że ojciec

nie lubi, gdy mu zaprzeczają — szepnęła mi tylko później, bym od czasu do czasu przypomniiał sobie jej radę. Ledwie dzień minął, wyszła mi ona z pamięci, zapomniałem o strachach, latałem, śpiewałem, jak kazał tatuś.

Bawiliśmy się na piecu bardzo wesoło: jedni śpiewali chórem, drudzy skakali, gonili się, fruwali — czasem łapaliśmy muchy, co jest bardzo trudne.

Makolągwa siedziała znowu na czterech pstrych jajeczkach; — obejrzeliśmy je z ciekawością — takie malutkie!... Jak uwierzyć, by tam wewnątrz siedział ptaszek... to chyba kłamstwo! Na samą główkę ileż miejsca trzeba!.. gdzie dopiero schować szyjkę, piersi, brzuszek, skrzydelka i nóżki?... Makolągwa zaczęła z nas żartować.

— Ziuziu, rzekła do starszej córki, nie zmieściłabyś się pewno teraz.

Ziuzia, prześlizgną makolągwa z nastroszonym czubkiem skrzywiła się na to pytanie.

— Ej, moja mamó, rzekła, przecież wszyscy wiedzą, że dawno minęły czasy, kiedy byłam takim drobiazgiem.

— Ale byłaś.

— Co prawda, nie pamiętam.

Krótką masz pamięć, zartował szczygieł, a Ziuzia zawstydzona uciekła. Roześmielimy się wszyscy, gdyż Ziuzia lubiła się przechwalać i rozmaite minki stroić, a makolągwa zawołała:

— Dość tego, dość, Ziuzia jest trochę próżna—wiem dobrze, lecz zamiast ją ośmieszać, pamiętajcie o własnych wadach. Jegomość szczygieł daje zły przykład młodym, ćwierknęła, gdy stary zadarł główkę i kręcąc ogonkiem spojrział na nas z góry, zupełnie jak Ziuzia.

— Przestań, asani, zbyt dużo paplesz! odciął się szczygieł.

— A to co znowu! krzyknęła makolągwa, nie wolno mówić?... Mężulku, ach mężulku, chodźże na pomoc, bo mi dokuczają — chodź natychmiast, proszę! Jeśli nie przyjdiesz, ucieknę, jajeczka się zaziębią i będzie nieszczęście.

Zanim wezwany się stawił, szczygieł siedział już na oknie, ziareczka wyłuśkiwał i tylko od czasu do czasu świergotał:

Złośnica! złośnica!

## ROZDZIAŁ V.

### Pierwsze niebezpieczeństwo.

---

Zamiast brać pod uwagę napomnienia starszych—nie uciekać, lecz strzedz się tego, co mogłoby mi krzywdę spowodzić, byłem coraz bardziej nieposłuszny i zuchwały. Lekkomysłność moja nie miała granic.

— Nikogo się nie boję! co mi tam kto zrobi! wołałem, skacząc po klatce, oknie albo piecu. Niech malcy w strachu wierzą, ja im się nie dam. Gdy przyjdzie mruć, pokażę mu, kto jestem, gdy mnie zaczepi jastrząb, oberwie również. Nikogo się nie boję! nikogo! Rówieśnicy patrzyli na mnie z szacunkiem, wierzyli pewno i zazdrościli.

Szygiel prowadził dalej pouczającą gawędę, między słuchaczami mnie jed-

nak nie było. Darłem się, aż pod oknem przystawały dzieci i sługi, by posłuchać mego śpiewu. Nawet stróż, osoba poważna, w miotłę zbrojna, przerywał zamiatanie i słuchał.

— Niechże go kaczkę zadziobią! wołał, podając przez okno majstrowi jakiś proszek, którym obydwaj nosy napychali, później zaś krzyczeli: apsik! na zdrowie! Mimo zuchowatego usposobienia, zmykałem wtedy; wszystkie ptaszki uciekały również, a Tłuś pytał:

— Czy oni strzelają? wuju, szczygiełku—strzelają?

— Piękne strzelanie! żartował szczygieł. Naładowali nosy tabaką, niby strzelbę prochem, ale krzywdy z tego nie będzie. Możesz być spokojny.

— Ja też wcale się nie boję, odparłem żywo—wcale, ani trochę...

— Dlaczego uciekłeś?

— Leciałem do mamy.

— Po co?

— Tak... tak sobie.

— Złapałem cię, synku. Lubisz się przechwalać, brzydki to bardzo.

— A widzicie! a widzicie! świergotała makolągwa—żartowali z mojej Ziuzi,

że główkę nosi wysoko, choć ona zarozumiała nie jest, a może nawet miałyby czem się pysznić! Ten zaś biedaczek dumy wielkiej nabrał, gdyż brakuje mu rozumu.

Zawodziła długo w ten sposób; ja uciekłem, spostrzegłszy, że jej uwagi bołą mateczkę bardzo; Lilli nadbiegła mnie pocieszyć.

— Zamiast się gniewać, kochany Ciziu, przyznaj, że wiele w tem słuszności, mówiła z poważną minką. Nieraz się przechwalasz, a nawet kłamiesz; trzeba zaniechać jednego i drugiego, tymczasem zaś mamę przeprosić.

Spełniłem radę Lilli. Mateczka długo mnie upominała, tłumacząc, jak szkaradną wadą jest samochwalstwo i jak trudno się wyleczyć, gdy przejdzie w nałóg.

— Będą cię wszyscy wyśmiewali, drogi synku, ćwierkała żałośnie.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, przyszedł stróż i zapytał o gospodarza.

— Tatko jest w kościele; odpowiedziały mu dziewczynki—może pan Michał wstąpi trochę później.

— Dobrze.



Zjawił się zaraz po powrocie majstra. Szeptali długo, sprzecząc się, czy umawiając, wreszcie usłyszeliśmy takie słowa.

— Jabym panu Michałowi serca własnego nie poskapił, ale z tych ptasząt dzieci mają wielką uciechę.

— Przecież ja proszę o jednego— o tego wesołego urwisa. Szczerze panu majstrowi mówię, nigdy nie słyszałem, żeby czyżyk potrafił tak śpiewać. Niczem kanarek!— a mądrzejszy od stu kanarków. /

Zacząłem słuchać uważnie.

— Pan Michał robi mi przykrość, doprawdy, nie mogę... dziewczęta bardzo go lubią.

— Mają dosyć ptaków, niby w sklepie—ja więcej nie żądam, tylko jednego— tylko tego jednego czyżyka.

— Nie mogę, Bóg widzi, że nie mogę. Marcyna by się zapłakała.

— Mój panie majstrze....

Wyszli do sieni. Starsze ptaki gwarzyły długo pomiędzy sobą, mateczka posmutniała, ojculek również. Zamiast pytać, co się stało, usiadłem na wierzchu klatki i nuciłem jedną z moich najładniejszych piosnek:

Zaśpiewajmy wszyscy chórem  
Gdy słońeczko wstanie,  
Bo mu od nas się należy  
Pieśń na powitanie.  
Ono kwiatkom daje życie,  
Cały świat ogrzewa,  
Niech mu za to każde ptaszę  
Piosnkę wdzięczną śpiewa!

Rodzice przypadli do mnie strwożeni.

— Milcz, dziecko drogie, zawołała  
mama—milcz!

— Nie potrafi przez jedną chwilę  
na miejscu usiedzieć spokojnie, gniewał  
się tatuś.

Zacząłem drugą piosnkę:

Wesoły dzień, pogodny dzień!  
Jasności zewsząd biją,  
A kwiatki woń roznoszą w dal  
I srebrną rosę piją,  
Zaśpiewał gaj, zaszumił bór  
I zaszemrała rzeka —  
Czemuż więc tylko ptasząt chór  
Skarzy się i narzeka?...  
O, bo przed chwilą krwawy strzał  
Ugodził ptaszę młode,  
Zachwiało się i pada wznak  
I leci — prosto w wodę...

Przerwałem, gdyż Lilli krzyknęła  
z twoga.

— Czyżulku, ach, czyżulku!

— Co się dzieje?

Wszystkie ptaki zgromadziły się przy klatce, ani jednego nie brak. Czemu tak dziwnie patrzą? Tatuś zagniewany, mamusia płacze, a szczygieł powtarza.

— Nie dajmy go, nie dajmy.

A mamusia zwiesza główkę i smutnie kwili:

— To będzie bardzo trudne—bardzo!..

Lilli, siedząca najbliżej, zaświergotała mi do ucha:

— Patrz!

— Gdzie? co znowu?

Obok Musialka, przy warsztacie, siedział stróż.

Nie nadzwyczajnego!—siedzieli tak nieraz i gawędzili o rozmaitych rzeczach. Alboż nie znam tego wielkiego, ostro zakończonego dzioba, siwych oczu i śniadej twarzy?.. miałbym czemu się przyglądać! Rozmawiają, tabaką się częstują;—wiele razy to robili, nie ma na co patrzeć. Pójdę jeść, bom głodny. Powstrzymała mnie rozmowa:

— No, panie majstrze, śpiewaka wezmę.

— Ach, moi drodzy, sam nie wiem—  
Marcynka się zapłacze.

— O kim mówią?

Lilli zwiesiła główkę.

— Czyżulku drogi, lubiłeś w oknie  
śpiewać, a teraz masz—biedaku!..

— Oni mnie nie rozumieją! Śpie-  
wam, bo muszę—bo piosnka mimowoli  
się wyrывa i płynie sama—wesoła albo  
smutna... Bóg wie, zkąd się bierze.

— Czy tak? świerkała Lilli. Tem  
więcej cię żałuję, kochany Ciziu.

Kiwała główką i patrzyła na mnie  
ze zdziwieniem

Musialek tymczasem przystąpił do  
okna; ja co żywo na piec, gdzie łzami  
gorzkimi zalewali się rodzice, braciśz-  
kowie i siostrzyczki. Rozpędzono nas  
kijem, który ledwie nie zabił Ziuzi,  
a szczygieł krzyczał na całe gardło:

— Ciziu, na szafę! dalej—na prawo!  
tu! tu! do nas! Biegłem, gdzie kazał,  
wiedząc dobrze, iż prędzej czy później  
nie uniknę swego losu... złapie mnie je-  
den albo drugi. Nareszcie, ledwie dysząc,  
usiadłem w kąciку, pomiędzy klatką  
a oknem.

— Gdzie czyżyk? pytał stróż.

Szewe udawał, że mnie nie widzi, czy też nie dostrzegł naprawdę i kręcił się po pokoju.

— Toć szukamy oba! mówił ze złością. Zadziało się gdzieś—tfu!.. jak w ziemię przepadł.

Mówili mi później, że szukał pod szafą, patrzył za piec i pod komin—ja tego nie widziałem, gdyż zamknąwszy oczy, ani się ruszyłem.

Szczygieł, poczciwina, latał jak nąjety, za nim uwijał się Tłuś. Nie przypuszczałem, by mój braciszek był taki odważny.

Po długim szukaniu, Michał przypomniał sobie robotę bardzo pilną i rzekł do majstra.

— Ano, niech tam! kawał czasu już straciłem—nie sposób się uganiać do wieczora. Trzeba iść, a pan majster ptaka przyśle.

— Doprawdy, Michale, nie wiem.

— Przecież miałem go dostać... jak nie, to sam trafię.

Z temi słowami wyszedł.

Ledwie drzwi zamknął, wpadła Marcysia; ja zacząłem śpiewać.

— Drogi czyżulek! wołała dziewczynka—ile przez niego mamy wesoleści!

Szewe opowiedział o żądaniu stróża—Marcysia wybuchnęła płaczem.

— Tatku, prosila, zanosząc się od lkań—ja go bardzo kocham! jeszcze maleńki był, ze wszystkich najwięcej go kochałam, zrób to dla mnie, tatku, nie oddawaj czyżunia Michałowi.

Szewe przyrzekł córeczce, że spełni jej prośbę; pogłaskał ją po głowie i ucałował. Dziewczynka podskoczyła aż z ukontentowania.

— Wielkie szczęście, że się schował, zuch z niego, zuch! powtarzały ptaki, a Marcysia mówiła oburzona.

— Patrzenie, czego się zachciało panu stróżowi! pewno klatkę kupił i myśli naszego śpiewaka w niej zamknąć. Niedoczekanie!

Na piecu zrobiło się gwarno — wszyscy mnie wypytywali i pocieszali. Mateczka trzęsła się ze wzruszenia.

— Uściskaj tę biedotę! zawołał szczygieł—dużo wycierpiała.

Przytulilem się do mamy.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### N a u k a.

---

Minęło kilka dni — stróż się nie pokazywał.

Były to bardzo smutne chwile, zwłaszcza dla rodziców; drżeli bez ustanku, że trzeba niebawem się rozłączyć. Gdy kto klamką ruszył, mateczka szepiała:

— Już idą po mojego synka! biednam ja, biedna!

— Nie zaprzatajcie sobie głowy, pocieszal szczygiel — skoro Michał nie przychodzi, wie już zapewne, że Marcysia waszego synka oddać nie pozwala.

Przestaliśmy nakoniec myśleć o stróżu — spokój zapanował; szczygiel zaczął znowu swoje opowiadania, my zaś oto-

czywszy go kołem, słuchaliśmy uważnie. Było czego słuchać, nawet do jedzenia odejść się nam nie chciało, tak zająć potrafił.

Tylko nam przeszkadzały trochę jednostajne dźwięki, dobywające się z ust Nastusi. Dziewczynka całemi godzinami powtarzała: b-a-ba—b-e-be—b-i-bi—b-o-bo—aż huczało w głowie.

— Co to jest? pytaliśmy jedni drugich, znudzeni dziwnem bąkaniem.

— Słyszałam wiele w swoim życiu, lecz tego nie pojmuję, mówiła makołagwa. Ni śpiew, ni gadanie!

— Kumeczko, przerwał szczygiel, wasz języczek sięga dużo dalej niż rozum.

— Mój języczek! wrzasnęła makołagwa—nikogo on nie skrzywdził, a jeśli tobie przeszkadza, możesz nie słuchać.

— O co się kłóćcie? przerwała szczyglica—nie ma o co, słowo daję. Kochany mężulku, ty jesteś bardzo mądry, więc nas objaśnij.

— Tak, tak, słuchamy! powtórzyliśmy wszyscy razem...

Szczygiel napuszył się mocno—taki już miał zwyczaj, następnie rzekł:

— Czyście zauważyli, że szewcowa



codzienn rano, budząc Nastkę woła: wstawaj, śpiochu!—spóźnisz się do szkoły.

— A tak, rzeczywiście, prawda!

— I cóż dalej?.. Oto dziewczynki ubierają się z pośpiechem i wychodzą, by nie wrócić aż na obiad. Cały ten czas spędzają w szkole; tam uczą się poznawać znaki, które Nastusia powtarza—to jest czytanie. Dawno już bardzo, za młodych lat, widziałem na własne oczy taką szkołę.

— Musi to być zajmujące!

— I bardzo nawet!.. Byłoto, pamiętam, na jesieni—chłód już dokuczał, liście z drzew opadały, szeleszcząc smutnie, wiatr zaglądał do ludzkich mieszkań jak gdyby pytał: A masz ty, człowieku, gniazdo opatrzone, ciepło wysłane, bezpieczne?—masz co jeść na złe czasy, gdy przyjdziemy we trzech?

— Jakich tam niegodziwców z sobą wlecze? wtrąciła Lilli.

— Bardzo srogich, moja duszko—jeden zwié się śnieg, a drugi mróz. Nie znasz żadnego, boś jeszcze zimy nie widział; pierwszy z nich ma płaszcz wspañiały, niby utkany z czystego puchu, drugi całkiem niewidzialny, lecz bardzo

dotkliwy—jak ściśnie, członki drętwieją.  
Ten o śmierć przyprawić umie.

Zaczęliśmy się tulić do matek.

— Nie strasz dzieci! zawołała ma-  
kolągwa, mów lepiej o szkole.

— Przecież mówię.

— Dotychczas nic nie wiemy.

— Tamo na myśl mi przyszło, gdy  
wspomniałem jesień, ale zaraz zacznę.  
Jak mówię, chłodno było, przysiadłem  
w nieznaney wiosce na dachu. Domo-  
stwo otoczone drzewami, które pewno  
w lecie dawały chłód przyjemny, teraz  
się odsłoniło, a drzewa zupełnie już  
bez liści, wyglądały tak ponuro, że mi się  
zdaleka przestraszył. Na dachu znalaz-  
łem nieco nasion, wiatr je tam położył—  
parę much osłabionych z chłodu prawie  
wpadło mi do dzioba.—Najedzony, zaczą-  
łem się rozglądać, a później śpiewać. Na-  
gle zadudniło i taki gwar powstał, że  
w pierwszej chwili zamarłem ze strachu.  
Uspokoiwszy się cokolwiek, podniosłem  
głowę—patrzę: w ogrodzie rojno, gro-  
mada dzieci biega po ścieżkach, gonia  
się, nawołują, krzyczą. Chłopcy, usta-  
wieni rzędem, pędzą z całej siły, inni  
podrzucają w górę coś okrągłego i lek-  
kiego, dziewczęta, za ręce się wzięwszy,

tańczą. Ledwie mi oczy na wierzch nie wyszły od patrzenia—zwracałem je to na lewo, to na prawo, ucieszony i zabawiony przygodą tak niezwykłą, aż tu dźwięk się rozległ: dyń! dyń! dyń!—i wszystko zniknęło.

— Zniknęło! powtórzyliśmy ze smutkiem i gdzież się mogło podziać?

— To samo pytanie, mówił dalej szczygieł, zadałem sobie po chwili, gdym trochę do przytomności wrócił. Zacząłem się rozglądać i szukać. Aż tu znowu słyszę: b-a-ba—b-e-be—b-i-bi,—zupełnie jak Nastka. Myślę sobie: bąk huczy i siedzę dalej. Wreszcie sfrunąwszy niżej, przysiadłem blisko okna... oho! już go mam!.. bąk się znalazł—nawet nie jeden lecz wielkie mnóstwo, starszych i młodszych. Siedzą na ławkach i powtarzają. Ławkę nieco wyższą zajmuje poważny jakiś człowiek, przy nim stoi dziewczynka i po deseczce sunie drobny bardzo przedmiot.

Długo patrzyłem. Od czasu do czasu, z grona dziewczynek lub chłopców wychodziło jedno, by odpowiadać na pytania, jakie ten mądry pan zadawał. Po największej części wszakże on mówił, dzieci słuchały. Przestał dopiero i z ław-

ki się zerwał, gdy chłopcy rozpoczęli kłótnię.

— Co to jest? krzyknął groźnie.

— Proszę pana nauczyciela...

— Zaraz mi tu powiedzieć, co się stało!

— Bo to... to...

Chłopczyna zaniósł się od płaczu.

— Ach, Boże! Boże! wyjąkał po chwili.

— Mów nareszcie!

— Bo... ach, ja nieszczęśliwy!.. proszę pana... Jasiek i Staśko powiadają... powiadają...

— Mój kochany, rzekł nauczyciel łagodnie, uspokój się i powiedz, tylko powiedz zaraz—szkoda czasu.

— Powiadają, że kiedy spytać: czajka, kto ci zabrał jajka, mówi wyraźnie: Filip.

— Tak, tak! zawołali chłopcy—mówi najwyraźniej.

— Ależ ja tego nie zrobiłem! Ikało dziecko.

— Wierzę, odparł nauczyciel, tyś dobry, uczciwy chłopak, nie zajmujesz się niszczeniem ptaków, nie wybierasz gniazd—do takich czynów zdolni są źli ludzie. Czajka woła pi-li, czy coś podo-

bnego, przepiórka ten sam dźwięk powtarza trzy razy, a ludziom się zdaje, że wedle pory roku woła: pójdźcie żać! albo: pójdźcie pleć! Znałem chłopca bardzo łakomego, który był pewny, że przepiórka wzywa go do posiłku: pójdź-że jeść! pójdź-że pić! mnie zaś niańka wstydzila nieraz: słuchaj, Waciu, nawet ptaszek mówi: buzię myć! buzię myć!

Głośny śmiech się rozległ—zapłakany Filip śmiał się także. Między chłopcami nastąpiła zgoda.

— Bo ptaki są głupie, rzekła jedna z dziewcząt.

— Patrzcie, jaka mądra! zawołał Tiuś.

— Nie przerywaj!—ach, szczygielku mów dalej, prosimy bardzo.

— Jeden z chłopaków, opowiadał szczygiel, przyznał, że ona ma słusność. Ptaki są głupie, lecz dzwonek kościelny musi przecież wiedzieć wszystko najlepiej i zawsze mówi prawdę.

— Na pewno! zawołał Stasiak, ten sam, który przed chwilą dokuczał Filipkowi. Gdy zrobię co złego, słyszę jak powtarza: tyś gałgan!

— I ja słyszę!

— I ja! i ja, panie nauczycielu.

— O moi drodzy, rzekł nauczyciel—

to głos sumienia. Kto go słucha, ustrzeże się złych czynów; biada tym, co go w sobie głuszają.

Długo tak jeszcze mówił ten dobry człowiek, następnie kazał dzieciom się pomodlić i iść do domu. Dzieci nie dały sobie tego powtarzać dwa razy; w chwilę później budynek szkolny opustoszał. Ja też frunąłem dalej.

Gdy szczygieł skończył, zapanowało milczenie—przerwała je makolągwa pytaniem:

— Nie przyszło wam też na myśl, że i my tutaj mamy szkołę?

— Gdzie?

— Na piecu.

Spojrzelśmy po sobie—nikt się nie odezwał.

— Alboż złym nauczycielem jest szczygieł, który kawał świata zwiedził i wszystko mądrze wytłumaczyć nam potrafi! dorzuciła makolągwa.

— Prawda! prawda! zawołaliśmy z przekonaniem.

— Niech żyje szczygieł! niech żyje nauczyciel!

— Dopiero teraz poznała się na mnie, ćwierknął stary, zadowolony jednak bardzo i ucieszony.

## ROZDZIAŁ VII.

### F i g l e F r a n k a .

---

Podczas gdy nam, ptaszkom, dni płynęły bez troski u szewca pracowano ciężko. Aż huczało w uszach od stukania, to też robota odchodziła, jak gdyby ją kto gonił. Ledwie skończyli jedną, drugą z miasta przynosili obcy ludzie, a każdemu było pilno, każdy prosił, żeby go załatwić jak najprędzej. Gospodarz uśmiechał się wesoło — zmęczony i cały w potach, okazywał jednak żywą radość.

— Dobrze idzie! mówił do chłopaków — z pomocą Boską może tak iść zawsze, tylko trzeba słowa dotrzymywać, roboty ani na chwilę nie opóźniać, dawać towar rzetelny i niezbyt drogi.

Trudno zrozumieć, dlaczego tak się cieszył. Pochylony, zgięty od trudu, nie

narzekał, lecz miał taką minę, jak gdyby szczęście nań spływało.

Żałował sobie chwili wypoczynku—nie wiem kiedy sypiał, gdyż ciągle widziałem go przy pracy.

Najrańszy ptaszek, makolągwa, ledwie zaświergotała do swoich piskląt, już i szewc się budzi, robi na piersiach znak krzyża i śpiewając modlitwę, zaczyna pracować. Chłopcy nie próżnowali także, zwłaszcza przed świętem, który to dzień przeznaczony jest na odpoczynek, ale majster oszczędzał ich widocznie, sam zaś najwięcej się trudił. I chłopcy wszakże nie siedzieli teraz nigdy z założonemi rękami:—robotą cięższą, czy lżejszą trochę, była pilną. Mocno utyskiwał nad tem Franek.

— Oj! oj! powtarzał—tchu nie czuję.. ledwie żywy. Nie ma nawet czasu wypalić papierosa; stary do stołka przyrósł, ciągle w izbie siedzi—wytrzymać trudno. Robotą nie zając—lepiej żeby majster sam wypoczął i wszyscy przy nim. Człowiek bez potrzeby traci zdrowie!

— Każdy o robotę woła, tłumaczył Adam, a dlatego tutaj przychodzą, że



pan Musiałek słowa dotrzymuje i zawsze na czas wydaży.

— Co mi tam! burknął Franek — wiele mi przyjdzie z tego!

Pewnego dnia, szewc robotę już wykończoną roznosić kazał, a sam wybierał się po sprawunki i tylko Adaś miał zostać w domu.

— Panie majstrze, prosił Franek — niech Adam idzie. Oddałem kapotę do naprawy, łokcie mam wytarte, nie sposób ludziom się pokazać.

— Prawda, odpowiedział szewc — wstyd obdartemi łokciami świecić. Adamku, wybieraj się co żywo, innym razem Franek cię zastąpi.

— Zastąpi! mruknął hardy chłopak, gdy majster wyszedł — zastąpi! a jakże! Błogo choć przez chwilę spokojnie posiedzieć. Nieszczęsna godzina!

„Nieszczęsną godzinę“ Franek często wspominać lubił, przyczem ręce załamywał i wzdychał.

Oparty na stole, z papierosem w ustach, przesiedział jakiś czas w milczeniu, potem jak gdyby mu myśl świetna przyszła, nagle, zerwał się i przybiegł do okna. Siedzieliśmy tam we dwoje, ja i Lilli.

— Ptaszyny! zawołał wyciągając rękę—śliczne ptaszyny! Posłyszawszy głos Franka, schowałem się za klatkę, byłbym nawet uciekł, gdyby nie obawa o Lilli.

Skoro ucieknę, a ona nie zdąży umknąć na czas, węższa odemnie, zginie w tych grubych, szorstkich rękach.

— Zmykaj, szepnąłem—zmykaj na piec; nie będzie gonił, chociaż wie, że schwyciłby cię bez trudności—ja zostanę.

Czując, że przyszła ciężka, może nawet niebezpieczna chwila, powiedziałem sobie: trudno, co będzie—to będzie. Nie mogłem jednak narażać Lilli.

— Ciziu, Ciziuniu, mówił słodziutko Franek—poczekaj, zapalimy papierosa. Ja wiem, że kochany ptaszek bardzo to lubi, trzeba mu przyjemność sprawić. Stary wyszedł, nikt nam przeszkadzać nie będzie.

To powiedziawszy, pełnemi pierśmi dym pociągnął, a później olbrzymim kłębem puścił prosto na mnie.

Zrobiło mi się słabo, nie mogłem oddychać i przymknąłem oczy, pełne łez. Franek śmiał się, klaskał w ręce i podskakiwał, aż z kuchni przybiegła Musiałkowa.

— Co robisz? krzyknęła ze złością—  
Dzieciaka obudziłeś, ja czasu nie mam;  
któż go zabawi, próżniaku jeden!

Oddaliła się widać natychmiast, bo  
Jaś płakał, a świeży kłęb dymu objął  
mnie znowu. Wzrok mi pociemniał, straci-  
łem przytomność. Nie wiem, jak długo  
trwało zemdlenie, gdy usłyszałem płacz:

— Mój czyżulek martwy! oh, ja nie-  
szczęśliwa!

Otworzyłem oczy.

Marcysia krzyknęła z radości—dro-  
bna jej rączka przesuwiała się pieszczo-  
tliwie po mojej szyi, po skrzydełkach,  
gładziła główkę. Wypilem trochę wody  
i frunałem na piec. Lilli podziękowała  
mi serdecznie, że cierpiałem za nią,  
wszyscy pytali, jak się miewam, a ma-  
teczka ucałowała z czułością i dotknęła  
dziobkiem mojej głowy. Zobaczywszy  
że główka chłodna, rodzice polecili do  
klatki na obiad, a ja zasnąłem.

Ludzie również jedli; brzękanie łyż-  
kami i talerzami spać mi nie dawało,  
co chwila otwierałem oczy. Zbudził mnie  
jednak, naprawdę, gwar kilku głosów,  
pośród których odróżniałem lament Mar-  
cysi, groźby szewca i krzyk Franka,  
udającego, że płacze.

— Niema czyżunia! wołała dziewczynka — już nigdy go nie zobaczę! Wszystkie ptaszki są na oknie, a czyżulék przepadł!

— Mów, coś z nim zrobił, jeżeli nie chcesz dostać kijem! krzyczał na całe gardło majster.

— Uhu! panie złocisty! uhu! panie najśłodszy! darł się Franek. Nie mu nie zrobiłem, cóż miałem zrobić?.. nie widziałem go wcale.

— Kłamiesz! odparł szewc. Nie tak wygląda człowiek, który ma czyste sumienie — gadaj, coś zrobił z czyżykiem Filutki!

Usłyszawszy imię mateczki, wiedziałem już teraz, że o mnie idzie. Zejść? czy nie zejść?... Trzeba było natychmiast pokazać się szewcowi, sam to wiem dzisiaj, lecz złość podsunęła mi inną radę!

— Zostań tutaj, posiedź do wieczora, niech Franek cierpi, niech otrzyma to, na co zasłużył.

Usłuchałem rady niedobrej, mściwej i wsunąłem się w kął pieca, gdzie byłem sam jeden; wszyscy frunęli do klatki i pewno tam jedli, a wówczas Marcysia spostrzegła, że mnie brakuje.

— Odpowiadaj! krzyknął szewc.

— Nie wiem, nie wiem! powtarzał Franek.

Dziewczynka, prawdopodobnie ze strachu, przestała płakać—głos jej umilkł.

— Panie najśladzsy, wrzeszczał Franek—nie widziałem go dziś wcale!.. nie widziałem!

Kłamstwo chłopaka dodało mi zawziętości;—przestała dokuczać myśl, że źle robię—z zupełnym spokojem oczekiwałem, co dalej będzie. Obiją go—z domu wyrzucą—doskonale!.. powinien być obity i wypędzony. Wszak mogłem się udusić... teraz nic mi nie jest, lecz przecież zemdląłem, a później bolała mnie głowa. Pastwił się nademną, bo jestem słabszy i udaje niewinnego, ponieważ lęka się bólu. Niech cierpi, niech go boli! za nic mu nie dopomogę!

Rozległ się trzask, a jednocześnie krzyk Franka ucho mi prześwidrował.

— Nie kłam! nie kłam! powtarzał szewc—dobrze, czy źle zrobiłeś, mów prawdę!

Spojrzałem na dół...

Rzemienne pasy dotknęły pleców nieszczęśliwego Franka! on krzyknął—majster znowu się zamierzył..

Zdrętwiałem z żalu i wstydu.

Może zaczekasz jeszcze? wołał we mnie jakiś głos — bawi cię jego krzyk, uzdrawia narzekanie?...

Frunąłem na okno, musnąwszy po drodze wzniesioną do góry dłoń szewca.

— Jest czyżuś! znalazł się czyżuś!

Szewe rękę opuścił.

— Nieszczęsna godzina! przez taką marnotę niewinnie cierpiałem! jęczał Franek, trąc obolale plecy. Pan majster nie ma litości nad człowiekiem — zbił mnie bez miłosierdzia, chociaż mówiłem, że nic nie wiem. Ptasisko na złość się schowało i dopiero teraz wyszło, a ja, com dostał, tom dostał! Oj gdyby matka z tamtego świata zobaczyć mogła, komu mnie oddała w opiekę!..

Szewe ani słowa nie rzekł, tylko robotę chwycił skwapliwie i do późnej nocy nad nią przesiedział. Szewcowa w kącie coś szyła, dzieci wylęknione też się nie odzywały. Ja zostałem w klatce, nie wiedząc, gdzie się obrócić. Gdy Franek spojrział w stronę klatki, trząsałem się ze strachu, a mamusia pytała troskliwie, „co ci jest, maleńki?“ i kazała wody się napić.

Nie pamiętam, czy to zrobiłem — ogarniała mnie dziwna niemoc, piórka

się nastroszyły, wzrok zaćmił. Marcysia, wzięwszy mnie na rękę, utuliła miękkimi paluszkami — przestałem drżeć. Wszystkie ptaszki odleciały na piec, a dziewczynka trzymała mnie ciągle w swoich dłoniach, nucąc piosneczkę, przy której zasnąłem.

## ROZDZIAŁ VIII.

### W r ó b l e i w r z o n y.

---

Nazajutrz w klatce obudziłem się pierwszy, gdy na piecu ledwie szarzało i wszyscy spali. Skoczyłem w wodę, była bardzo zimna—później z wielkim smakiem do jedzenia się zabrałem. Dzień wczorajszy już mnie nie straszyl, patrzyłem dziś inaczej na wszystko—pogodniej, weselej.

Szczygieł wpadł do klatki; był rozniewany, gdyż złapał muchę, a szczygli-ca oddała ją dzieciom.

— Gdybym nawet usechl z głodu, byle tamci dobrze wyglądali, ona o nic nie dba! złościł się i dogadywał.

— Nie narzekaj, pocieszała go mamusia—to gospodyni zaradna i rządna. Pamiętaj, jak raz, w lecie, szewcowie



wyszli z domu, jedzenia brakło, ty miałeś go po uszy, jeszcze wszystkich zaprosiłeś? A widzisz!.. Nikomu do głowy nie przyszło poszukać ogórków; szczyglica je wynalazła i nam pokazała drogę.

— No, tak, wtedy spisała się mądrze, ale jest nudna ze swoim sknerstwem. Nieraz wszyscy jedliby w najlepsze; co mają sobie żalować! gdy zbraknie ziarna, dadzą świeżego — ona każe zostawić resztę na później. To się nazywa gospodyni!

O ile miarkuję, szczygiel był trochę lekkomyślny, szczyglica musiała sama piskłeta chować, on zaś mało się troszczył, jak wyglądają i czy najedzone. U nas, zarówno ojciec jak i mateczka o swoim drobiazgu pamiętali, uczyli dawać sobie radę, strzegli troskliwie. Szczygłeta bały się ojca, głyż za najlżejsze przewinienie dziobał, krzyczał, piórka wrywał; u nas kara trafiała się czasem, ale bardzo rzadko i nie tak surowa. Szczygiel, wychowany na swobodzie, szorstki, gwałtowny, zadzierał z każdym; towarzyszki swojej też nie szczenił, — chroniła się biedaczka pod opiekę innych ptaków, gdy wojować zaczął.

Od czasu wszakże, kiedy makolągwa

ogłosiła go nauczycielem, klótnie ustały; szczygiel, co prawda, nieraz jeszcze hałasował, lecz bijatyk już nie było. Wstydzil się zapewne. Zyskały również na tem szczyglęta: patrzyły teraz dużo śmielej, ładnie piórkami porosły i wesołością zabawiały wszystkich.

Nadeszła zima.

Cienki platek szyby od jej srogości nas ochraniał, szewcowa kładła do pieca wielkie czarne glazy, które potem robiły się czerwone i dawały ciepło. Sroga pani, o której szczygiel mówił nam rzeczy straszne, pozawieszała ciężkie sople lodu u dachów, zawodziła w kominie, jak gdyby kto płakał, lub rzucała w okna śniegiem.

Trzej towarzysze przyszli widać.

Litowaliśmy się bardzo nad wróblami,—ptaszyny zziębnięte i głodne szukały pożywienia. Co prawda jednak, nie było po nich znać biedy: brzuszki zaokrąglone, mina dziarska. Mądremi ślepkami zerkały na nas, a jeden, odważniejszy, stuknął dziobkiem w szybę. Zaczeliśmy z nim rozmawiać—odpowiadał śmiało.

— Bieda na dworze, pierwszy odezwał się Tłuś. Zimno ci, jesteś głodny...

— E—nie tak—bardzo! ćwierknął wróbel.

— Bój się Boga! na taki wiatr i mróz jeszcze się nie skarżysz?

— Przywykłem—a zresztą, patrzcie, jakie ja mam pióra! ile puchu!.. W tej chwili jestem trochę głodny, bo śnieg zasypał nasze spiżarnie po śmietnikach—mamy ich dosyć, ale cóż kiedy zasypa—ne... Nie wiadomo teraz, gdzie szukać jedzenia.

Gawędziliśmy z wesołym wróblem.—Ziuzia chciała wydziobać otwór w szybie, aby mu rzucić trochę ziarek, gdy przyszła Marcysia po swoją robótkę. Pocziwe serduszko naszej opiekunki zrozumiało, o co idzie. Okno otworzyła i wysypała garść siemienia dla wróbli.

Jakże też jadły biedne wróble!.. Ten co się chwalił pięknem upierzeniem, lyktał najwięcej—myśleliśmy, że się udławi, tak jadł prędko i dużo.

— Przyjdę jutro do was, zaświergotał, najedzony już widocznie—przyjdę w tej porze co dzisiaj.

— Widzisz, jaki dumny—żartował Tłuś—a pewno niema dachu nad głową.

— Tak źle nie jest, odpowiedział szczygiel—potrafi on sobie radzić i wcześ—

nie się zabezpieacza. Zarówno po wsiach, jak w większych czy mniejszych miastach, kryjówki dla wróbla się znajdują.

— Patrzcie, patrzcie, zawołała Mia, jakieś ogromne czarne ptasiska chodzą po dachu... teraz jeden frunął na podwórko!

— Zapewne jastrząb! jastrząb!

Popłoch się zrobił—choć każdy wiedział, że tu jest bezpieczny; w pierwszej trwodze nikomu to nie przyszło na myśl.

— Co się stało? pytała czyżyca, spiesząc do córeczki swojej Fli, która, udep-tana w nóżkę, piszczała przeraźliwie.

— Jastrząb! jastrząb! wołaliśmy ze strachem.

— Co wam też w głowie, moje dzieci! uspokajała czyżyca. Gdzie jastrząb?

— O, tam—na podwórzu.

— Przywidziało się wam, nic więcej.

— Ten wielki ptak z czarnymi piórami, świergotała Fli, zapomniawszy o bólu. Pewno zjada wróbla lub innego ptaszka;—o, patrz, mamusiu, jak coś szarpie...

— To wrona, moje dzieci, siostrzy-czka kruka;—do ich rodziny należy jeszcze czarnowron i gawron. Ale słusz-

nie się boicie:—wrona zjada ptaszki, nie poprzestając na ziarnie i owadach.

— Chyba i teraz małą jaką ptaszy-nę pochwyliła?

— Nie.—Znalazła skrawek mięsa, wyrzucony przez kucharkę i oskubuje go pracowicie.

— Szkaradne stworzenie!

— Lubi też padlinę, jak jej braciszek, o którym słyszeliście wiele razy.

Czarne ptasiska uwijały się po podwórku—znać było, że szukają czegoś, a krakały przytem, rozmawiając z sobą.

— Żal mi ich, wtrąciła Lilli. Podczas mrozu niejedna pewno ginie, zwłaszcza w nocy.

— Dobre masz serce, nad każdym się litujesz, odparł Milutek. Ja wron niecierpię, kiedy zjadają ptaszęta.

— Jabym zjeść się nie dał! groził Tłuś—o, nie!

— Łatwo ci mówić, lecz gdybyś z nią się spotkał na uboczu, nie wiem, czy wyszedłbyś cały. Jest też co widzieć, gdy ona z kwoką wojuje o kurczęta; jak ostro do bitwy się bierze. Byłam raz świadkiem takiego zdarzenia, nawet nie w polu, ani w lesie: byłoto blisko

ludzkich mieszkań, prawie u progu kuchni dworskiej.

— Nikt wrony nie spłoszył?

— Ludzie, jak zwykle, zajęci robotą, o kurze zapomnieli, a ona, poczciwa mamusia, chodziła po podwórku z gromadą kurczątek wesółych, tłusciutkich, żółtych jak kanarki.

— Małe kurczątko są także ładne?

— Bardzo ładne! Wyglądają niby kłębuszki puchu mięciutkiego i delikatnego. Później brzydną: jedne robią się szare, inne pstre, czarne, żółtawe, niektóre białe, ale podobnem do kanarka żadne nie jest.

— Jakże dała sobie radę kura? pytaliśmy zaciekawieni.

— Przyzwyczajona do ludzkiej opieki, naprzód wołała o pomoc—krzyczała strasznym głosem, aż ochrypla. Wrona jednak pewno już mądrze wymiarkowała i przepatrzyła, że nieprędko kto nadejdzie, bo wszyscy zatrudnieni, każdy swoim. Nie zważając na krzyk biednej mateczki, wybrała sobie tłustego kogucika...

— Nie mogliście też, siostruniu, w jakikolwiek sposób dać jej ratunek? prze-rwała moja mama.

— Wiesz, kochanie, co znaczą moje siły, a wrona ze swoim ostrym dziobem i szponami jest naprawdę straszna. Drżałam jak liść o życie kurczątko... ono się skuliło i przysiadło drżące również. Przymknęłam oczy, niby od wielkiego blasku;—tak, tak, myślę—za małą chwilę, szum się rozejdzie od powiewu skrzydeł tej czarnej szkaradnicy i biedna kura straci synka...

Wtem krzyk się rozległ;—patrzę, kurczątko siedzi jak siedziało, a kura wpada na wronę i bije ją po czubie.

— Masz, masz! woła, piejąc ze złości—niemile ci ziarno, owady, robaki, chcesz zjadać pisklęta? Dla ciebie je pielęgnuję, dla ciebie!... tyś chyba nie matka, dzieci nie hodowałaś, nie wiesz, ile trzeba się natrudzić, zanim podrosną?... Masz! masz!

Kracząc przeraźliwie, wrona uciekła, ale niedługo sfrunęła znowu i siadła opodal. Jużby tym razem kura nie mogła się obronić, ledwie dysząca ze zmęczenia i ze strachu. Szcęściem ktoś z kuchni wybiegł i wronę przepędził.

— Dzięki Bogu! dzięki Bogu! zawołaliśmy ucieszeni. Odważna kura ocalała swoje dziecko.

— I wyskubała trochę czuba wronie!

— Gdzie tam! nie zrobiła jej krzywdy, tylko powstrzymała napastnicę.

— Dobra mateczka! zaświergotała Lilli, czyszcząc starannie dziobek. Ucałowałabym ją za to.

— A ja, chwalił się Tłuś—odpędzilibym wszystkie wrony daleko! daleko!

— Miałbyś robotę niesłychaną, bo wszędzie ich pełno rzekł szczygiel. Taka czarnula wychowuje corok pięcioro albo sześcioro malców, a silne to i wytrwale nadzwyczajnie.

— Drogie dzieci, rzekła mamusia, chodźmy spać. Kto głodny, niech zje troszkę, wodą popije i—na górę!

— Szkaradny czas! wyrzekał szczygiel. Dnie ponure, bez słońca, noc taka długa, że mnie staremu oczy nie chcą się kleić. Radbym pochodził, ale cóż?—ciemno;—gdzie pójdę?

— Nie skarż się, odparła szczyglica. Spisz w cieple—dopiero przykrość! Gorzej tym, co nie mają gdzie się schronić.

— No, tak, świergotał szczygiel, wybierając najgrubsze ziarnka, tamtym trudno teraz.

— Zostańcie z Bogiem! ćwierknęła



makolągwa—ja spieszę do dzieci, przez całą noc nie spałam.

— Żartujesz, siostrzyczko.

— Wcale nie, moja droga—Trululu miał gorączkę, spać mi nie dał.

— Pewno się przejadł, wtrąciła szczyglica.

— Moja stara innego powodu znaleźć nie umie—zawołał szczygieł. Przejadł się przejadł! zawsze ta sama nudna śpiewka.

— Ma słusność, moi drodzy. Trululu wczoraj wieczór zjadł za dużo, potem się wykapał—to mu zaszkodziło widocznie.

— Wychowałam ja ich dosyć—wiem, że taki drobiazg nałyka się tłustych ziarenek bez upamiętania, a potem choruje.

— Dobranoc, bo upadam ze zmęczenia, przerwała makolągwa, rozwijając skrzydelka do lotu. Pofrunęła na piec, inni udali tam się również, reszta została w klatce; na piecu było dla wszystkich za ciasno i za gorąco.

## ROZDZIAŁ IX.

### N i e s z c z ę ś c i e .

---

W ludzkiej klatce nieprędko jeszcze noc zapadła; szewc miał roboty mnóstwo i dłużej niż zazwyczaj nad nią przesiadywał. Pracowali we trzech, nie licząc młodszych chłopaków: gospodarz, jakiś obcy, któremu szewcowa mówiła „panie Pawle“ i Franek.

Wspominali tu już nieraz, że nadchodzą święta, dlatego chyba wszystkim było pilno mieć obuwie, a i mróz dokuczał;—ludzie chronili nogi od przeziębienia.

Marcysia ubierała lalkę dla Kasi, córeczki stróża i cieszyła się naprzód radością małej, Nastka czytała głośno—Jasiek, uśmiechnięty spał w kołysce. Dawniej był brzydki, teraz wyładniał:

skrzydelka zrobiły się takie tłuściutkie—dziobek taki zgrabny!.. tylko nóżki za grube, oj, za grube. Dziwne, że nie miał z nich pożytku, wcale nie chodził, nosić go musieli, czasem siedział, wymachując skrzydełkami. Piszczal też okropnie, najczęściej bez powodu, zarówno w dzień, jak w nocy.

Majster, pracując zawzięcie, opowiadał coś panu Pawłowi, gospodyni nalala im piwa, sama piła także, a resztę dostał Franek. Siedzieli długo w noc; jak długo wszakże, nie wiem, bo sen mnie zmorzył.

Sen to był dziwny:—przeniósł mnie do lasu, którego dotąd nie znałem. Drzewa ogromne, straszne—mówiły coś do siebie i drżały—wrony, sowy, kruki ciągnęły gromadami z wielkim wrzaskiem; drętwiąc ze strachu, szukałem schronienia, lecz nie mogłem znaleźć, gdyż drzewa kołysały się ciągle, a przytem jęczały, co mnie ploszyło.

Postanowiłem uciec jak najdalej;—nie mogłem... zadyszany, obracałem się tylko w jednym miejscu, tuż przy kraczących ptakach. Czy który spojrzał w moją stronę, nie wiedziałem, lękałem

się, że spojrzy lada chwila... Ratunku!  
ratunku!

Obudziłem się—patrzę: piec—ptaszki  
spią, przytulone po kilkoro obok siebie...  
cisza—bezpiecznie tutaj, pod opieką do-  
brych ludzi. Głowę miałem ciężką, by-  
łem jeszcze niewyspany, ale strach mnie  
zdejmował, że gdy oczy przymknę, zo-  
baczę znowu ten las okropny, drzewa  
i ptaki. Nie usnę, o, nie usnę! szeptałem,  
opierając się znużeniu. Wreszcie nie  
mogłem już dźwignąć powiek;—zdawało  
mi się, że gdzieś lecę, że wpadam głębo-  
ko—nakoniec usnąłem...

.....

Straszny dzień!—Minał dawno, a stoi  
mi w pamięci tak silnie, jak gdyby  
wszystko, co przeszedłem, działo się  
przed chwilą. Drzę na wspomnienie  
okrzyku Marcysi:

— Tatuniu, mamó, jakiś cudzy kot  
nocował w mieszkaniu. Patrzcie, dopie-  
ro się mignął, wypadł za Frankiem!

— Czego krzyczysz? odparła Nastka.  
Kot był i uciekł—osobliwość znowu!

— Zamiast się kłócić z siostrą, przer-  
wał szewc, zajrzyj do ptaków.

— Przecież ptaki śpią na górze, a po  
piecu kaflanym kot nie umie chodzić.

Nie czekając, aż dziewczyna zrobi co jej kazał, szewc zbliżył się do okna. W tej chwili Marcysia zawołała strasznym głosem:

— Ach, Boże! co tu piór! co tu piór około klatki!

— Zapewne wszystkie ptaki podusił, rzekła szewcowa.

Dziewczynki płakały, na piecu powstało zamieszanie; rodzice liczyli dźwignę, wszyscy zbierali się razem, szczęśliwi, którym nie brakło nikogo.

Makolągwa coraz niespokojniej poszukiwała pieszczotki swojej, Ziuzi; szczęśliwa aż ochrypla, starego szczygła wywołując, a my... wypatrywaliśmy napróżno drogiej mateczki!..

Mielizbyśmy nigdy jej nie ujrzeć, miałaby na zawsze zginąć dla nas? To niepodobieństwo, żeby zginęła tak marnie, żeby opuściła tych, których kochała, o których przed kilkoma godzinami zdrowa, wesola, troszczyła się gorąco!

— Mamo, mamó, wołał Tuś—mamu! powtarzaliśmy wszyscy trzej, a młodsze rodzeństwo wtórowało nam żałośnie. Ojczulek się rozglądał, znikał co chwila i powracał znowu, aby pocieszyć osieroconą gromadkę. Mamy nie było.

Gdy frunęliśmy na dół, Marcysia, płacząc, zbierała piórka z podłogi.

— O moje biedactwa! zawodziła — moje biedne, kochane ptaszęta. Kot dostał się pewno, gdy Franek szedł z piwem i drzwi nie zatrzasnął. Moje biedne, wymordowane ptaszki, tylko garść piór z was pozostała... Te pstre pamiętam na szyjce Ziuzi, szare ze skrzydła Filutki — po szczygielku nawet i piór nie widzę... O, moje drogie, moje kochane ptaszyny.

Słuchaliśmy tych narzekan; — młodsze siostrzyczki piszczały żałośnie — mama Lilli wzięła je w opiekę. Siedzieliśmy wszyscy na oknie aż do wieczora, nikt nie zaśpiewał, nawet głośniej odezwać się nie ważył. Świergotano tylko od czasu do czasu:

— Ach, my biedni, ach, my nieszczęśliwi!

Smutna to była piosnka.

Gdy pierwszy żal minał, makolągwa zaczęła wyrzucać nam, młodym, żeśmy jej córeczkę prześladowali niesłusznie, gdyż była ona bardzo miła, dobra i mądra.

— Ależ, ciotuniu, zawołał Tłuś — gdyby wypadalo szukać towarzyski

w obcym rodzie, ja pierwszy prosiłbym o Ziuzię.

— Czybym ci ją dała! wrzasnęła makolągwa ze złością.—Tłuś odskoczył—złakł się jej wrzasku, a szczyglica piszczała bezustannie:

— O, mój mężulek! wszyscy po nim płaczą. Wszystkich uczył, mądre rady każdemu dawał; biedniemy teraz, bo kto go zastąpi!

Tylko nasz ojczulek głośno się nie skarżył, co mu za złe brali. Nawet rozsądna mateczka Lilli szepnęła do swego czyżyka.

— Mógłby trochę więcej wspominać nieboszczkę!—milczy, jak gdyby mu kto dziób zalepił.

Wysłuchałem tego z przykrością, gdyż biedny tatuś martwił się bardzo, ale inaczej. Makolągwa i szczyglica zawodziły ciągle, bezustanny ich świergot przywiódł ojca Lilli do takiego gniewu, że aż rozpoczął bójkę ze szczyglicą, ponieważ była bliżej i wydarł biedaczce trochę piórek.

— Takiś ty, bratku! wrzasnęła makolągwa, stając w obronie przyjaciółki—dlatego że straciła opiekuna, że jest biedną wdową, krzywdę jej czynisz!

— Wcale nie dlatego, odparł czy-  
zyk, ale wytrzymać nie mogę, tak traj-  
koczenie obie. I ty, zamiast się kłócić  
ze mną, idź do swoich malców, a mnie  
daj pokój.

— Jaki mądry, proszę! uczy mnie  
dzieci wychowywać, każe być cicho!..  
Nie—na złość będę śpiewała, dopóki mi  
tehu starczy, od rana do wieczora i póź-  
no w noc.

— To się drze dopiero!

— Drze? ja się drę—nie śpiewam?...  
Ach, moi kochani, moi przyjaciele, po-  
słuchajcie, jak nasz czyżulek cudnie za-  
wodzi. My wszyscy tylko krzyczymy,  
tylko się drzemy, on jeden śpiewak. Co  
za śliczny głos!

Szczyglica, uporządkowawszy czu-  
prynę, pospieszyła na odsiecz makoląg-  
wie.

— A ty szkaradniku, zapiszczała—  
patrz, jak wyglądam!... Obdarta, prawie  
łysa... nie wstyd ci, żeś mnie skrzywdził?

— Niewielkie rzeczy!

— Niewielkie?... my ci tu zaraz po-  
każemy, jak miło jest chodzić z taką  
łysiną! zawołały jednocześnie szczyglica  
i makolągwa.

To powiedziawszy, przypadły do



czyżyka i byłyby go poturbowały nie-  
zgorzej, gdyby nie krzyk Lilli.

— Trululu się udławił!

— Nieszczęście! zawodziła mako-  
lągwa. Kto żyw, niech spieszy na ratu-  
nek!... stracę drugie dziecko.

Ojciec już był przy swoim synku  
i robił co umiał, aby z gardziolka usu-  
nąć kawałek cukru, którego wystraszo-  
ny malec połknąć nie mógł. Czyżyk,  
potargany trochę przez dwie złośnie,  
wdał się także, mój tatko również;—  
wszyscy pomagali i nareszcie wyjęli  
cukier. Trululu, pozbywszy się przeszkody,  
natychmiast do jedzenia wrócił i ły-  
kał znowu ziarnka tak chciwie, że, bojąc  
się wypadku, makolągwa zabrała go na  
górze. Wszyscy już tam siedzieli, tylko  
my z tatusiem zostaliśmy przy klatce,  
w której zginęła mama. Tatuś długo na  
nas patrzył, nareszcie rzekł:

— Czy będziecie ją zawsze pamię-  
tali?

— Zawsze, przez całe życie, tatuniu!

— Ach, ojezulku, dodał poważniej-  
szy z dniem każdym Tłuś—czy mogli-  
byśmy zapomnieć!

— Tamte krzyczą i wyrzekają, lecz

zapomną prędko, my zaś pamiętajmy naszą biedaczkę przez całe życie.

— O, tak, zawołaliśmy ze łzami, a malutkie siostrzyczki, nie rozumiejące jeszcze co się stało, powtarzały tylko:

— Mama! mama!

I one zaczęły już cierpieć, biedne małaństwa!

## ROZDZIAŁ X.

### „Ptaki do sprzedania.“

---

Ludziom też było smutno. Szewc chodził chmurny, co chwila patrzył w górę—Marcysia i Nastka płakały, nawet szewcowa, choć zajęta praniem, przyszła krwawe ślady zobaczyć.

— Ach, niegodziwiec! rzekła;—kto go tu wpuścił? jakim sposobem został na noc?.. Że też ja nie spostrzegłam, darować sobie nie mogę! Ostatnia szłam spać wczoraj, sama drzwi zamykałam—na myśl mi nie przyszło pilnować kota.

Chłopcy również ubolewali, szczególnie Adam. Tomek w ogólności mało się odzywał—dbał on tylko o to, żeby dostać jak największą kromkę chleba, podczas obiadu najeść się porządnie

i, wieczorem, chociaż drugie tyle dolożyć. Franek mruczał:

— Wielkie rzeczy! ubyło trochę ptaków, zostało i tak dosyć!

— Mnie ich żal, mówił Adam. Nikomu krzywdy nie zrobiły, a zginęły marnie.

— Chciałbyś im pewno pogrzeb wyprawic? co? Zginęły marnie!—ptaki tak zawsze giną—to ich los.

— Cicho! krzyknął majster—nie gadać, tylko roboty pilnować! Ja was tu nauczę!

Chłopcy umilkli zatrwożeni, mnie strach ogarnął... Żle się dzieje, kiedy człowiek wyrozumiały i łagodny bez powodu wybucha gniewem...

— Co to znaczy? pytał Tłuś, przyglądając się gospodarzowi—nigdy takim nie był.

— Nowe nieszczęście!

— Braciszku, nieszczęścia nie wspominał. Cóż się stało?.. chciałbym wiedzieć... ty teraz tylko narzekać umiesz.

Prawda! jakże się zmieniłem! Wczoraj zuch, prawie szaleniec—dziś wszystko mnie przejmuje trwogą. Niktby nie poznał śpiewaka, za którym się ubiegano.

89a



Nieszczęście.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

Gdy drzwi skrzypnęły, uciekałem—nie zostałbym też w klatce sam jeden, ani usiadłbym na piecu, gdy wszyscy znajdowali się na oknie.

Dzień zimowy trwa krótko—i ten, choć nadmiarę długim się zdawał, przeszedł wreszcie.

Rano, uspokojony trochę, na życzenie Lilli zaśpiewałem, gdy szewc modlitwę rozpoczął. Smutna to była piosenka, bardzo smutna—pokrzepiła jednak naszą gromadkę i mnie też cokolwiek. Purpurowe szlaki na oknie, w klatce i na podłodze zniknęły; wymyto je, gdyśmy spali, aby nie przypominały straszego wypadku. Tylko moje biedne siostrzyczki cicho się skarżyły, a rozgadana szczyglica hałaśliwie upominała swoją dziatwę:

— Nie kłóćcie się! przecież ojciec zawsze mówił, żebyście się zgadzali!.. Już nie pamiętacie? wyszło wam z głowy, co on nauczał? Piękne dzieci, dobre dzieci, daleko szukać takich!

Za oknami szalała burza, ciskając w szyby śniegiem i wichurą—u nas było ciepło; kto wszedł, nie rad wychodził i powtarzał.

— Ogromny dziś mróz na świecie!

Marcysia i Nastka wróciły ze szkoły czerwone jak od gorąca, nie wyrzekały jednak. Śmiały się, że mężczyznom szron siada na wąsach, od czego wyglądają one jak dwie miotły.

Dzieweczki chichotały w kącie ukradkiem, bo szewc miał bardzo srogą minę, mało się odzywał, a na chłopaków krzyczał zaraz po pacierzu. Nie chciały ojczulka drażnić śmiechem, ale je ten przymus mordował. W figlarnych oczach Nastki Iza błysnęła, gdy całując siostrę, rzekła płaczliwie:

— Albo tatunio jest chory, albo też gniewa się na wszystkich.

— Nie rozumiem, odparła Marcysia rozszalona—wcale nie rozumiem, co ojczulkowi się zrobiło.

Dotychczas, ile razy przyszły, witał je ojciec żartami i śmiechem; po obiedzie pieścił małego Jasia, rozmawiał z matką;—teraz o wszystkim zapomniał, ani podobny do siebie.

— Rano, ledwie przelknął parę łyżek barszczu, biadała szewcowa, spoglądając na zachmurzoną twarz mężowską. Czy słabość, czy też zmartwienie?... Najświętsza Panienko, ulituj się nad nami!



Obiad, rozweselany dawniej przez gospodarza, odbył się w milczeniu; polowa została nietkniętą. Kto mógłby jeść ze smakiem, jeśli sam gospodarz usuwał dary Boże i patrzył na ścianę, jak gdyby około siebie nic nie widział!.. Zebrawszy talerze, gospodyni schowała resztę jedzenia do piecyka; widziałem później, że miała oczy obrzękłe od płaczu.

— Co to jest? pytały dziewczynki—  
co jest tatuniowi?

— Chyba go kto odmienił! wzdychała szewcowa—nie wytrzymam w tej żalności.

Chłopcy nie śmieli na jedną chwilę od roboty się ruszyć; pomimo że pracowali ciągle, nie szło im jakoś. Strach im przeszkadzał—psuli najczęściej.

Wieczorem, gdy ostatnią już gromadką wybieraliśmy się na piec, a młodszy dawno już spali, Musiałek wreszcie przemówił. Zawołał żonę, chłopaków i córki i rzekł do nich:

— Słuchajcie—długo myślałem, a jestem człowiek prosty, nawykły pracować rękami, nie głową... sądziłem, że mi ona pęknie od tego trudu. Rozważywszy wszystko razem, widzę, że nasze ptaki wymordowała ręka ludzka.

— Panie, oburzyli się chłopcy — kot był w mieszkaniu.

— Kot umyślnie sprowadzony, dorzucił krótko szewc.

— Któżby to zrobił, ojczel! zawołała Nastka.

— Któżby śmiał zrobić! westchnęła Marcysia. To niemożliwe!

— Niech się przyzna chociaż — gdy go dzika złość ominęła, niech żałuje! krzyknął majster, patrząc w oczy Frankowi.

Szewcowa upomniała się za chłopakiem.

— Bądź sprawiedliwy, Janie, rzekła; posądzasz, a nie masz dowodu.

— Prawda, Róziu, nie mam, lecz gdybym mógł uwierzyć, że się mylę, byłbym szczęśliwy

Franek, blady jak płótno, ręce załamał!

— Panie majstrze, jęknął — ach, panie majstrze!

— Mów — nie nie ukrywaj, powiedz prawdę! krzyczał szewc, trzęsąc się z gniewu.

— Groziłem nieraz, odrzekł Fra-

nek—dokuczałem tym biedakom, nawet wtedy... panie majstrze, skłamałem... Ale umyślnie kota sprowadzać, żeby ptaki dusił... ach, mój Boże, czy ja już ostatni z ludzi, czy nie mam serca, ani sumienia?... pan majster mi nie wierzy!..

— Dość, przerwał szewc. Chcę wierzyć—pragnę wierzyć, oto wszystko. Nie nawidzę krzywd. Jam prostak, żyjący w pracy od małego, uczyć się nie miałem czasu, posiadam jednak sąd własny o wielu rzeczach, a i o tem również, że człowiek powinien być opiekunem i obrońcą stworzeń słabszych od siebie. Hodując ptaki, chciałem w was wpoić ten obowiązek.

— Tatuniu, przerwała Nastka—nie robiłyśmy im krzywdy.

— Wiem, odparł szewc. Jednakże troje zginęło, a przez to ja, człowiek szczery, otwarty, pilnuję ciągle i podejrzynam. Długo tak wytrzymaćbym nie mógł—umyśliłem przeto rozstać się z ptakami.

— Ach, Boże! tatusi! jęknęły dziewczynki.

— Gdyby teraz była wiosna, mówił dalej szewc, puściłbym je do ogrodu

gdziekolwiek; ponieważ długo jeszcze na nią trzeba czekać—sprzedam.

Ostatnie słowo, dodane głosem drżącym, padło pomiędzy nas jak piorun. Marcysia zapłakała.

— Tak—sprzedam, kończył majster, chociaż bardzo mi przykro handlować niemi. Myślałem porozdawać znajomym, lecz mogłyby trafić gorzej, niż u nas... Albo ja wiem, co kto ma w sercu: dobroć czy srogość? Tymczasem kupujący ptaki lubią je, bezwątpienia, a lubiąc nie skrzywdzą... przytem... będę uważał po ludziach—oddam ptaki jedynie ludziom uczciwym.

To powiedziawszy, Musiałek uściskał córeczki prawie skamieniałe ze wzruszenia.

W naszym kółku strach powstał. Makolągwa i szczyglica zaczęły świergotać tak głośno, że aż Franek trącił Adama, szepcząc?

— Czyżby rozumiały, biedaki?

Lilli płakała, że się rozejdziemy.

— Gdyby nas chociaż wziął kto razem, kwiliła żałośnie, ale najpewniej nas rozdziela, umieszczą osobno.

— Biedni my też—biedni!..

— Zazdroszczę tamym, których nie-  
ma! świergotała Flu.

— I ja również.

— Przestańcie wzdychać, rzekł ta-  
tuś—nie nie pomoże. Szewc krzywdy  
nam nie zrobi i obmyśli wszystko jak  
najlepiej.

— Co tam obmyślenie! przerwała  
makolągwa.—Kto kupuje, nie będzie py-  
tał. Zginęliśmy, moi drodzy.

— Tak, tak, zginęliśmy.

Szczyglica wzięła na odwagę.

— Eh, moi kochani, zawołała, jesz-  
cze nie straconego przecież. Możemy się  
dostać w dobre ręce, po dwoje razem,  
nawet po kilkoro. Zresztą—nie uduszą  
nas, ani zjedzą, jak tamtych.

— Mądra dopiero! gniewał się czy-  
żyk—byle jej nie zjedli, o resztę spo-  
kojna.

— Dosyc się namartwiłam po moim  
nieboszczyku.

— Tak, dodał czyżyk—ciągle krzy-  
czałaś, aż nam wszystkim głowy puchły,  
ale zmartwienia nie widziałem.

— To kłamca! obruszyła się szczy-  
glica—jak śmiesz mówić!

— Przestańcie, rzekł tatuś. Rozpró-  
szymy się niebawem, kto wie, czy spot-

kamy się kiedykolwiek! po cóż ostatni może wieczór spędzać w kłótniach.

— Tak, powtórzył Tłuś — może jedyny.

— A malcy śpią i nie wiedzą.

— Niech się dowiedzą jak najpóźniej, biedactwa!

Gdyśmy tak rozmawiali, szewc wyjął z szuflady stołu jakiś papier, długo po nim skrobał, aż mu rumieńce wystąpiły na twarz, później zawołał Marcysię.

— Przeczytaj, rzekł:

Dziewczynka wyjąkała powoli, głosem drżącym: „*Ptaki do sprzedania.*“

— Czy dobrze napisane, czy wyraźnie? zdaleka zobaczą?

— Zobaczą...

Papier został umieszczony w oknie, aby go każdy zauważył.

## ROZDZIAŁ XI.

### W świat!

---

— I cóż? i cóż?

Temi słowami, rozglądając się po mieszkaniu, dziewczynki przywitały matkę, wróciwszy ze szkoły.

— A nic.

— Nikt nie był, matusiu?

— Na taki ziąb straszny, komu chciałoby się myśleć o ptakach, rzekła szewcowa. Każdy najchętniej w domu siedzi, a jeżeli wyjść potrzebuje, nie na to przecież, aby rozglądać się po oknach. Jestem pewna, że żywy duch karty nie czytał.

— Ach, gdyby tak codzień! zawołała Marcysia, wznosząc modre oczęta ku niebu. Ach, żeby mróz trzymał ciągle!

Przy każdym poruszeniu klamki, lub

odgłosie kroków, drżeliśmy wszyscy, nawet biedny drobiazg, który już wiedział, co go czeka. Ledwie dzień zaświtał, zbici w gromadkę, zegnaliśmy się z sobą. Później, zwłaszcza gdy nikt nie przychodził, było nam cokolwiek rażniej. A może ciężka chwila rozstania odwlecze się jakoś, może nie znalazłszy nabywców, szewc do wiosny poczeka i wypuści nas wszystkich razem.

Tak mówił czyżyk, ojciec Lilli, a szczyglica opowiadała nam o lesie, gdzie każdy ptaszek ma dosyć miejsca i żywności dosyć, gdzie gniazdko może uwić, gniazdko prawdziwe, z mchów, piórek, trawki mięciutkiej, wygodne, pachnące.

— To mi dopiero gniazdko! wołała, to własny dom, posiadłość!.. Nikt mnie ztamtąd nie wypędzi, jestem u siebie, gdyż sama sobie domek ulepiłam.

Słuchaliśmy z zaciekawieniem, jak się robi gniazdko, jak trzeba śliną zlepiać, najmniejszą szparę zapelniać, a na budowę rozmaite rzeczy gromadzić. Zdawałoby się, że to trudne—bynajmniej. Materiału jest wszędzie mnóstwo, ludzie tyle go marnują, wyrzucają bezrozumnie, a tu każda rzecz się przyda: kłaczek



waty, włoski, przedziwo, okruch, pyłek prawie.

— Tylko trzeba umieć wziąć się do roboty, zaświergotała Mia.

— Starsi uczą młodszych;—nie było wypadku, żeby które gniazdo zostało źle wykonane. Zepsujesz parę razy, naprawisz, wylatasz, a z tego naprawiania będzie jeszcze trwalsze i bezpieczniejsze.

Strach!... uciekliśmy wszyscy na piec.

Gdy gospodarze kończyli jeść obiad, wpadła jakaś kobieta, drzwiami trzasnąwszy, aż obudził się mały i krzyknął na całe gardło. Pomimo silnego mrozu, głowę miała niezakrytą, na wierzchu głowy czubek, a na tym czubku coś świecącego. Szeleszcząc spódnicami, wbiegła szybkim krokiem, jak gdyby ją kto gonil.

— Moi państwo, zawołała—moi kochani państwo, dajcie prędko tę papugę!

— Papugę? powtórzył szewc zdziwiony.

— Tak... Dla mnie samej wolalabym tego szkaradzieństwa nie widzieć nigdy w życiu, bo nadokuczała mi nieraz. Obrzydły ptak!.. wołał na mnie: Kaśka! a przecież ja jestem Kazimiera, w całej

kamienicy wiedzą i wszyscy mnie znają. Ale pani płacze, więc pan powiedział: idź Kasia—to jest—chciałam powiedzieć... Kazia i kup zaraz, kiedy chcą sprzedać.

— Dlaczego pani płacze? pytała szewcowa.

— Alboż nie mówiłam? nie nie mówiłam?... ach, jakież ze mnie kolek!.. nieszczęście z tem zapominaniem... Onegdaj, powiadam państwu—nie, wczoraj... onegdaj, dobrze mówię—tak, onegdaj... cudaczne ptasisko przejadło się widać i, z przeproszeniem pańskim, zdechło.

— To rzeczywiście pani ma zmartwienie.

— Brak jej innych, więc się martwi z powodu ptaka. Za panią, wszyscy całym domem chodzimy jak struci; nie wiadomo, do czego się wziąć, z czem się odezwać—istne urwanie głowy!

— Bardzo mi przykro, ale cóż ja mogę poradzić?

— Rada jest taka: trzeba kupić inną. To też przyszłam zaraz, jak mi powiedzieli... Mój pan jest bogaty; co prawda, lubi się targować, ale zapłaci rzetelnie. Więc ptaka obejrzę i pójdę powiedzieć, ile państwo żądają za niego.

— Co panna mówi? nie nie żądamy, odparł gospodarz.

— Bardzo przepraszam! zawołała panna Kazia, ujawszy się pod boki—to mi dopiero interes!... Mój pan nie pierwszy lepszy, żeby od kogo prezenty przyjmował!

— Nie myślimy dawać.

Wylupiaсте oczy panny Kazi zrobiły się jeszcze okrągłejsze ze zdumienia.

— Po cóż ja tu przyszłam? krzyknęła ostro.

— Nie wiem—chyba dla własnej przyjemności.

— Mój panie, klóciła się Kazia, co pan wygaduje, także mi przyjemność!... przyszłam, bo kazali—na karcie było wyraźnie, a teraz pan nie sprzedaje?

— Nie.

— Dlaczego?

— Papugi nie mam.

— Nie ma pan papugi?... Trzeba było powiedzieć odrazu.

— Gdyby panienka pytała, byłbym powiedział, że są czyżyki, szczygły i makolągwy; tymczasem musiałem wysłuchać o papudze.

— Szczygły! czyżyki! dopiero osobliwość!.. Toż pełne lasy tego drobiazgu—



u nas, w Kocichnózkach, aż się roi. Tu w Warszawie byle czem zaprzatają sobie głowę i grosz wyciągają. Piękny handel!

To powiedziawszy, wyszła rozgniewana. Chłopcy żartowali z panny Kazi.

— Ptasisko się objadło—powtarzali—i, z przeproszeniem pańskim, zdechło.

Ani Marcysia ani Nastka nie śmiały się jednak. Pochylone nad książką, przesuwaly palcami od brzegu do brzegu i szeptały coś półgłosem, a gdy mrok zapadł, starsza zdrzemnęła się na krzeselku, młodsza zaś klękla przy kołysce, z której mały Jasio próbował sam wyjść na ziemię. Bylby główkę rozbił, gdyby go siostrzyczka nie zatrzymała.

— Ej ty, urwisie, mówiła, całując tłuste rączki małego, tobie się zdaje, żeś chłopak mądry i silny—nie chcesz czekać, aż przyjdzie mama, tylko figle wyprawiasz. Kołyskę kiedy wywrócisz, wypadniesz, nosek stłuczesz i będzie bu-bu-bu.

Dziecko wytrzeszczyło oczy, a przy ostatnich słowach zaczęło się śmiać.

— Jeżeli nie chcesz stłuc noska, pouczała Marcysia, udając rozgniewaną, to siedź, grzybie, aż cię kto zdybie.

— Co pan mówi?

— Tylko tyle, proszę pana, że czyściki nie sprzedam.

— Ośmiela się pan żartować!

— Przepraszam, jeżeli obraziłem — mówię bez żartów. To jest moje ostatnie słowo.

— Zabawny człowiek! mruknął pan wyszedł z gniewem.

Aż zaśpiewałem wesoło, ucieszony nadzwyczajnie, że droga Lilli nie wpadła w złe ręce. Gospodarz się zdumiał.

— Patrzcie, rzekł do córek — co to za mądre ptaszę! Tylko mu ludzkiej nowy brak; — nie widziałem nic podobnego w mojem życiu.

Dziewczynki miały łzy w oczach, ale żadna nie zdobyła się na odwagę powiedzieć ojcu:

— Kiedy tatuś tak go chwali, po cóż sprzedawać?.. niech lepiej zostanie.

Gdyby która odezwała się w ten sposób, może wszystko zmieniłoby się a lepsze; nie zostawiliby przecież mnie jednego, wiedząc, że nawykliśmy być razem. Lecz Marcysia i Nastka nie śmiały prosić; wierzyły także, iż ojciec wyzuka nam dobrych opiekunów i tem ię pocieszały, biedaczki.

u nas, w Kocichnózkach, aż się roi. Tu w Warszawie byle czem zaprzatają sobie głowę i grosz wyciągają. Piękny handel!

To powiedziawszy, wyszła rozgniewana. Chłopcy żartowali z panny Kaz

— Ptasisko się objadło—powtarzali—i, z przeproszeniem pańskim, zdechło

Ani Marcysia ani Nastka nie śmiały się jednak. Pochylone nad książką, przesuwały palcami od brzegu do brzegu i szeptały coś półgłosem, a gdy mrok zapadł, starsza zdrzemnęła się na krzeselku, młodsza zaś klękała przy kołysce z której mały Jasio próbował sam wyjść na ziemię. Byłby główkę rozbil, gdyby go siostrzyczka nie zatrzymała.

— Ej ty, urwisie, mówiła, całując tłuste rączki małego, tobie się zdaje, żeś chłopak mądry i silny—nie chcesz zaczekać, aż przyjdzie mama, tylko figle wyprawiasz. Kołyskę kiedy wywrócisz wypadniesz, nosek stłuczysz i będziesz bu-bu-bu.

Dziecko wytrzeszczyło oczy, a przy ostatnich słowach zaczęło się śmiać.

— Jeżeli nie chcesz stłuc noska pouczyła Marcysia, udając rozgniewaną, to siedź, grzybie, aż cię kto zdybie.

— Co pan mówi?

— Tylko tyle, proszę pana, że czyżyczki nie sprzedam.

— Ośmiela się pan żartować!

— Przepraszam, jeżeli obraziłem — mówię bez żartów. To jest moje ostatnie słowo.

— Zabawny człowiek! mruknął pan i wyszedł z gniewem.

Aż zaśpiewałem wesoło, ucieszony nadzwyczajnie, że droga Lilli nie wpadnie w złe ręce. Gospodarz się zdumiał.

— Patrzcie, rzekł do córek — co to za mądre ptasze! Tylko mu ludzkiej mowy brak; — nie widziałem nic podobnego w mojem życiu.

Dziewczynki miały łzy w oczach, ale żadna nie zdobyła się na odwagę powiedzieć ojcu:

— Kiedy tatuś tak go chwali, po cóż sprzedawać?.. niech lepiej zostanie.

Gdyby która odezwała się w ten sposób, może wszystko zmieniłoby się na lepsze; nie zostawiliby przecież mnie jednego, wiedząc, że nawykliśmy być razem. Lecz Marcysia i Nastka nie śmiały prosić; wierzyły także, iż ojciec wyszuka nam dobrych opiekunów i tem się pocieszały, biedaczki.

## ROZDZIAŁ XII.

### Tadzio i Romuś.

---

W przeciągu jednego tygodnia utraciliśmy połowę towarzyszków. Poszła w świat szczyglica ze swemi małemi — później, ach, ileż wycierpiałem! drogi mój braciszek Tłuś. Z nim razem opuściła nas Mia, młodsza siostrzyczka Lilli. Tłuś udawał wesołość i wcale nie narzekał.

— Bądźcie dobrej myśli, świergotał przy pożegnaniu — dlaczego zaraz przypuszczać, że nigdy się nie zobaczymy? — kto to może wiedzieć!

Towarzyszka Tlusia nie smuciła się również.

— Trudno, ćwierkała, trudno! Kiedy tak los wypadł... nie płaczcie, bardzo proszę; Tłuś idzie ze mną, on dobry pta-



szek, opiekunowie, zdaje się, poczeiwi. No, no, matusiu, przestań wyrzekać—tatuniu, wytłomacz mamie, żeby się nie martwiła. Do widzenia! do widzenia!

Poszli, owinięci w białą chustczynę przez staruszka, który okazywał wielką życzliwość dla ptaków. Rozmawiał z nami, przyczem bardzo pociesznie układał usta w dziobek—próbował nawet świergotać, lecz mu się nie udało, gdyż jak mówił, nie ma zębów. Śmieszny! my przecież zębów także nie mamy.

Żona jego dreptała po pokoju, zziębniętymi nogami stukając w podłogę.

— A co, stara, mówił—czy dobry nabytek?

— Śliczny, mój Ignasiu, prześliczny!.. I miejsca dużo nie zajmie i świergotem ucieszy, gdy człowiekowi smutno na sercu. Najgorzej zawsze gdy ty z domu wyjdiesz—zostaję sama jedna i Bóg wie jakie myśli mnie trapią.

— Będiesz teraz miała towarzystwo. Gdy zaczną śpiewać, zapomnisz, że Jadzia i Zosia są gdzieś na końcu świata.

— Ty mewasz, Ignalku, pomysły wyborne.

— Aha, widzisz, Franiu.

Z temi słowami wyszli, pożegnawszy się grzecznie. Lilli pocieszała swoich rodziców, zmartwionych bardzo, ja zaś gawędziłem z ojezulkiem o naszym Tlusi, gdy zaczął się spór o Milutka, którego jacyś panowie zabrać chcieli.

— Mówiłem panom, że pojedynczo ptaków nie sprzedaje.

— Co za dziwny przymus!

— Nie przymuszam, tylko czekam na prawdziwych amatorów. Kto lubi ptaki, woli kupić dwoje.

Czyżyczka Flu przytuliła się do mamy, wiedząc że o niej mowa.

— Taka mała! rzekł drugi pan—taka marna!

— Czyżyk jest zawsze większy, ta czyżyczka jednak nie gorsza ani mniejsza od innych.

— Tak—ale ja mam w domu kana-rzycę.

— Niech szanowny pan pofatyguje się do handlarza ptaków—nie brak ich na Piwnej.

— Nie przyszedłem po adres—wiem gdzie mieszkają ptasznicy, lecz chciałem kupić.

Gospodarz milczał—pan się rzucił rozgniewany.

— No, jakże?

— Powiedziałem — sprawa skończona.

— Szaleństwo, doprawdy!.. Zgódź się pan, gdyż nie mam czasu za tem chodzić—dobrze zapłacę. Czyżby podobał mi się—miałem już takiego.

Szewe milczał.

— Zróbmy nareszcie koniec!.. no, placę za dwie sztuki, a biorę jedną. Czy zły interes?

— Nie o interes mi idzie, odparł chłodno szewe. Jam rzemieślnik, żyję z pracy, na ptakach spekulacyi nie robię; zapłatę mogę wziąć tylko taką, jakiej żądałem. Najchętniej rozdałbym ptaszyny, gdybym wiedział, komu tem przyjemność sprawię.

— Jakże będzie?

— Już powiedziałem, proszę pana, odrzekł gospodarz i, skłoniwszy się nieznajomemu, wrócił do roboty. Pan stał przez chwilę, potem głową kiwnął i wyszedł, a za nim drugi.

Flu odetchnęła swobodnie. Milutek, śpiewak niezgorszy, popisывał się piosneczkami, żeby okazać swoją radość. Miał z czego się cieszyć—i bardzo nawet! Kto wie, jakie go tam czekały przy-

krości z tą kanarzycą w obcym domu, gdzie nikt go nie zna, on też nie zna nikogo. Tymczasem został z przyjaciółmi—czy na długo? nie wiem, bo przyszła moja kolej.

Na drugi dzień, gdy gospodyni po śniadaniu sprzątnęła talerze, Marcysia, spojrzawszy w okno, rzekła do Nastki.

— Jacyś uczniowie idą.

— Może nie do nas.

— Aha! nie do nas!.. toć widziałam, jak czytali kartę.

— Chryste! znowu po ptaki!.. ach, kiedyż to się skończy? biadała dziewczynka.

Z twarzyczką rumianą od mrozu, zgrzany, jak podczas lata, wszedł chłopczyk z tornistrem na plecach. Za nim ukazał się drugi, mniejszy cokolwiek.

— Panie, zaczęli oba razem, ale wnet jeden umilkł i drugi też się zająknął.

— Co panowie rozkażą? zapytał szewc?

— Chcieliśmy prosić...

— Jestem na usługi.

— Chcieliśmy raczej zapytać, czy między ptakami, jakie pan sprzedaje, niema dobrego śpiewaka?

— Jest jeden śpiewak wyborny.

— Ach, panie! pragniemy go kupić...  
ale—może będzie drogo kosztował?

— Oto wszystko, co posiadamy, do-  
dał mniejszy chłopczyk, wysypując za-  
wartość blaszanego pudełka. Nie wiem  
nawet ile—zaraz policzę.

— Pewno za mało, jeśli pan się  
droży.

— A to na imieniny siostrzyczki—  
chora jest biedaczka; lalki ją znudziły,  
zabawki również;—ptaszek i do tego  
śpiewak, ucieszyłby z pewnością.

— Dziesięć, dwadzieścia—złoty—ra-  
chował starszy chłopczyk, gdy młodszy  
nie spuszczał wzroku z gospodarza.  
Złoty groszy sześć—czterdzieści—dwa  
złote... Czy tylko ładnie śpiewa?

— Nie możnaby usłyszeć?

— Trudno kazać ptakowi, żeby śpie-  
wał, lecz upewniam panów, że się nie  
zawiodą.

— Kiedy pan mówi, to i owszem...  
Zapłacimy natychmiast, gdyż pilno nam  
do szkoły i wstąpimy po ptaszka o trze-  
ciej.

To powiedziawszy, obliczali skwa-  
pliwie resztę pieniędzy.

— Przepraszam panów, jeszcze nie

koniec — odezwał się gospodarz. Mój śpiewak ma towarzyszkę i chciałby ją zabrać.

— Ach, pewno pieniędzy zabraknie! wołali chłopcy—biedna Kocia!

— Wiele nie żądam.

— Tak — lecz złożyliśmy tylko na jednego ptaszka i jednego chcemy kupić. Na dwóch trzeba przynajmniej dwa razy tyle.

— Panicze wytargują — żartował szewc.

— Pan opuści? pytał młodszy chłopczyk, o, jak to dobrze!

— A któryż drugi?

Rozpatrując naszą gromadkę, majster nie odpowiadał.

— Panie, nam pilno — do szkoły się spóźnimy — naglili braciszkanie.

— Sam nie wiem...

— Może ten malutki, co siedzi przy śpiewaku?

— Śliczny i miły nadzwyczajnie! ten! panie kochany...

— Pewno będą żyły w zgodzie. Przykra rzecz, kiedy ptaszki wojnę prowadzą, — u naszego wuja, sam widziałem — pobily się do krwi.

— Nie wzięlibyśmy takich — Kocia

ma dobre serce, jest bardzo czuła, zamiast się cieszyć płakałaby nad niemi, a to mogłoby jej zaszkodzić.

— Moje ptaszki są zgodne bardzo, rzekł gospodarz. Choć kalkulowałem inaczej, kiedy ta czyżyczka podoba się panom, bierzcie ją sobie.

Lilli zaświergotała.

— Śpiewa, cieszyli się chłopcy.

— Jakie to tam śpiewanie!.. Ale czyżyk śpiewak doskonały, jego babką była kanarzyca. Mam z tej rodziny jeszcze paru, lecz ten wszystkich przeszedł.

Rad, że Lilli pójdzie ze mną do dobrych braciszków, zaśpiewałem piosnkę o gaju; chłopcy się cieszyli, a Nastka miała łzy w oczach.

— Takaś niepocziwa! strofowała ją Marcysia.

— Uhu! uhu!

— Pomyśl, jak ta chora panna się uraduje!.. słuchaj, leży w łóżku—lalki ją nudzą, nawet lalki!—to biedna dopiero! Zamiast płakać, weź książki i dalej w drogę. No, spiesz się, Nastka!

Dziewczynka, wzdychając, podążyła za siostrą.

Mieliśmy kilka godzin na pożegnanie—zbiegły bardzo prędko. Tatuś upominał, byśmy żyli w zgodzie i starali się zabawić chorą, bo to jest życzeniem dobrych jej braciszków. Należy śpiewać, świergotać, figle wyprawiać, gdy ona smutna, a zwłaszcza gdy nikogo nie ma w pokoju; wesola piosnka pociesza, a więc dopomaga zdrowiu.

Przyrzekliśmy pamiętać o naszych obowiązkach, a wszystkie ptaszki nam zazdrościły tak poważnego zadania.

— No, no, ktoby myślał, że jesteśmy lekarstwem, świergotała Flu. Nigdy nie sądziłam, że nasz śpiew może uleczyć.

— Nie uleczyć, tłumaczył tatuś, tylko rozweselić.

— Troskę odpędzić, dodała Lilli— wygnać ją za dziesiątą rzekę — czy to mało?

— Myśmy nie byle jacy, zawołał Milutek, gdy to potrafiemy! Dziewczynka wyzdrowieje, jak będzie wesola— a kto do wyzdrowienia się przyczyni? mój braciszek! Ja pewnoby nie umiał, on umie doskonale— nauczy chorą śmiać się, świergotać i śpiewać; tak—śpiewać pięknie, a wtedy ona zapomni, że ją kiedykolwiek co bolało!



— Dobrze mówisz, chwalił tatuś—  
zrozumiałeś, czego chcę od Cizia.

— Proszę! dziwiła się Flu—jaki on  
mądry!

— A widzisz, teraz dopiero poznałaś!  
Przy pożegnaniu, Marcysia i Nast-  
ka, które nadbiegły dosyć wcześnie, uca-  
łowały nas, płacząc. Ja chciałem śpie-  
wać, ale ochryplem—pewno z żalu.  
Świergotaliśmy tylko, ja i Lilli, odpowia-  
dała nam cała gromadka; starsi upomi-  
nali, cieszyli.

Czy zobaczymy się kiedy w życiu?..

---

## ROZDZIAŁ XIII.

### K o c i a.

Przytulony do piersi chłopczyka i osłonięty jego ubraniem, nie poczułem wcale mrozu, który mnie tak straszyl. Drugi braciszek zabrał Lilli i, tak, z troskliwością niezmierną, przeniesiono nas do nowego mieszkania. Odzyskawszy wolność, znalazłem się w pięknym pokoju z wysokimi oknami o lśniących szybach i lampą zawieszoną w górze. Zaświergotałem, gdy moja towarzyszka do mnie przybiegła.

— Bardzo ci zimno, kochana Lilli?

— Wcale! ten dobry chłopczyk nie dał mi zziębnąć.

— Co to? zawołał jakiś miły głosik—  
Tadziulku, co tam się odzywa?

Chłopiec wionął chusteczką, czem nas oboje przestraszył. Lilli uciekła—

ja, nie wiedząc dokąd dąże, poleciałem za nią ku drzwiom otwartym... Na poduszkach białych jak śnieg, leżała dziewczynka blada i mizerna, a tak śliczna, taka miła, że na jej widok zacząłem śpiewać najpiękniejszą piosnkę.

Dziewczynka była uszczęśliwiona.

— Ach, Tadziu! ach, Romciu! wołała radośnie—jakie wesołe ptaszki, jak pięknie śpiewają! Zkąd wam przyszło na myśl zrobić mi tę niespodziankę?

— Naradzaliśmy się oddawna, czem cię rozweselić, rzekł starszy braciszek, lecz dobry pomysł nie przychodzi na zawołanie. Pomógł nam przypadek.

— Jaki przypadek?

— Dowiedzieliśmy się o ptakach od Gucia.

— Kiedy?

— Byliśmy tam niedawno.

— Po co przypominać! ona pamięta. Gdyśmy wychodzili, spojrziała z tak żalną miną, że ledwie nie zapłakał.

— Co znowu? bronila się chora—ja bardzo pragnęłam, byście poszli.

— Jeszcze na schodach, Romek mówił do mnie! słuchaj, Tadziu, może lepiej wrócić?

Dziewczynka spojrzała na brata wzrokiem błyszczącym łzami.

— Romciu drogi... szepnęła cichutko.

— To też, dodał po chwili Roman, bardzo żalowałem, że nie wrócił.

— Romusiu!.. Cieszyliście się przecież oddawna myślą o tej zabawie. Rodzice Gucia urządzają zawsze mnóstwo niespodzianek...

— Et, machnął ręką chłopczyk — zabawa przeszła, a nazajutrz wstydzilem się przed samym sobą, że w domu nie zostałem.

— Tyś zanadto dobry, rzekła chora, wyciągając rękę do braciszka.

Tymczasem Tadeusz złapał Lilli i podał ją Koci.

— Złoty mój ptaszeczek! wołała dziewczynka — patrzcie, jakie ma piórka delikatne, co za bystre, wesołe oczki!.. A teraz Tadziuniu, złap drugiego — chciałybym obejrzeć.

Chłopczyk spełnił prośbę siostry — całowała mnie i pieściła, powtarzając:

— Zkąd wam to na myśl przyszło! zkąd się wzięło!

— Mieliśmy opowiedzieć — sama przerwałaś.

— Już słucham, słucham! odparła, układając się wygodnie na poduszkach—mów, Tadziułku drogi.

— Mały Lunio, braciszek Gucia, zaczął Tadeusz—był chory na febrę. Znasz go, jaki grymaśnik, nie chce brać lekarstw; jedno za gorzkie, drugie za kwaśne, żadne mu do gustu nie przypada. Uparł się i tym razem;—choć ojciec, mama i babcia, wszyscy prosili, słuchać nie chciał.

— Niedobry Lunio!

— Gdy Gustaw opowiadał, myślałem Kociuniu o tobie—tybyś nam takiej przykrości nie zrobiła.

— Tadziułku drogi, uśmiechnęła się Kocia—porównywaś mnie z Luniem!... To małe dziecko, zaledwie skończył czwarty rok.

— A nasza staruszka ósmy—poważna osoba! żartował Romek, całując Kocię.

— Posłuchaj, rzekł Tadeusz. Uparty Lunio wcale się nie leczył, lekarstw nie brał żadnych, febra go tak osłabiła, że przestał chodzić. Całymi dniami nosiła go na rękach panna Zofja.

— Dlatego przez czas dłuższy ani zajrzała do mnie.

— Pewno dlatego... Raz siadłszy z Luniem przy oknie, panna Zofja zaczęła mu opowiadać o wróbelkach, bo właśnie przez szyby zaglądały do pokoju. Gdy przestała mówić, Lunio wołał: jeszcze! jeszcze! Niech pani powie, gdzie te wróbelki mieszkają, co jedzą? co robią? gdzie teraz poleciały? Bona powtarzała dziesięć razy jedno, a mały nudziarz ciągle wypytywał: co robią teraz, niech pani powie. Co robią? odparła wreszcie, aby jej dał już spokój—lekarstwo biorą, bo zachorowały.

— Biorą lekarstwo? dziwił się Luniek— a jakie?

— Każde—nawet bardzo gorzkie, aby rodziców nie martwić, mówiła panna Zofja.

Lunio się zaczerwienił, myślał przez chwilę, a potem zawołał:

— Jabym też nie grymasił, żebym miał takie grzeczne ptaszki.

Usłyszała to babcia i obiecała kupić kilkoro ptasząt.

— Wtedy pan Ludwik przestał się krzywić na lekarstwa?

— Zgadłaś, Kociuniu. Ma dwoje starych i cztery młode makogolągwy, a do zdrowia wrócił zupełnie.

— Czy ładne ptaszęta?

— Ładne, przytem wesołe bardzo.

Dziewczynka zaczęła się śmiać; do pokoju weszła jakaś pani.

— Moja córeczka w dobrym humorze dzisiaj! rzekła z radością.

— Mamuniu, patrz co za śliczne ptaszki! posłuchaj, jak śpiewają.

— Prawda—wspaniałe trele... No, no, proszę! nie sądziłam, że czyżyk mie-wa taki głos.

Chcąc się popisać, śpiewałem piosnki coraz piękniejsze—Kocia była uradowana.

Wieczorem odwiedziły ją przyjaciółki; poznała nas ze wszystkimi. Rozpoczęła się zabawa: naprzód lalkami, później kuchnią, małą, błyszczącą kuchenką, w której na kominie płonął ogień i było aż ciasno od różnych gospodarskich statków. Cieszyłaby się też Marcysia, gdyby mieć mogła coś podobnego!—ona tak kocha swoje kamienne garnuszki i miseczki, lepszych zapewne nigdy nie widziała i nie potrafiłaby nawet zużytkować tych różności, jakie są tutaj.

Obce panienki bawiły się doskonale.

— Prześliczne gospodarstwo, a kuchnia wyborna, mówily pomiędzy sobą. Szczęśliwa Kocia.

Chora uśmiechała się do przyjaciółek, częstując je cukierkami, których i nam dała spróbować—potem gdy Helcia, Zosia i Ludka zaczęły tłuc, siekać i ubijać, pobladła od hałasu, jaki to wszystko sprawiało. Piękne cacka nie bawily jej ani trochę, widok przyjaciółek, zajętych niemi, ożywił chwilowo, lecz później zmęczył. Osunęła się na poduszki i, z przymkniętymi powiekami, leżała jak martwa. Tadzio siadł przy niej;—nadeszła mama z lekarstwem, a gdy herbatę podali, odezwał się dzwonek i jakiś pan niemłody stanął we drzwiach pokoju chorej. Przywitała go radosnym okrzykiem.

— Wujaszek! wujaszek!

Cieszyła się też bardzo, klaskała w ręce, gdy wuj otworzył pudło, które za nim przyniesiono i dobył z niego pannę w długiej, białej sukni.

— Nigdy nie myślałam, żeby wujaszek pamiętał o moich imieninach, rzekła, całując go po rękach i twarzy.

— Co ty tam wiesz, Kocico! żartował wuj. Nie bądź leniuchem, z łóżka



się wynoś, a zobaczysz, jakie niespodzianki cię czekają.

— Pragnęłabym wstać, drogi wujciu, ale...

— Doktor nie pozwolił?

— Tak — i nie mam siły.

— No, no, zaczekaj. Da Bóg, powoli siły wrócą, a humor także. Tymczasem, zamiast się męczyć, usnij. Lalce pewno panienki chciałyby obejrzeć; — moi drodzy goście, proszę do sali. Tu chora nam przeszkadza, my chorej również.

Całe towarzystwo opuściło pokój, mama została przy Koci. Tadeusz wsunął głowę przez drzwi uchylone, później Romek — nie weszli wszakże, bo chora usnęła.

Lilli zdrzemnęła się też zaraz, ja nie mogłem; przeszkadzała mi lampa zawieszona u sufitu. Patrzyłem w jej łagodne światło, to znowu na śpiącą...

Jaka mizerna, blada i bezsilna, a jaka przytem dobra, miła, słodka!.. Nawet moja Marcysia gasła w porównaniu z Kocią.

Czy kiedy wyzdrowieje? opuści łóżko — śmiać się będzie i chodzić żwawo jak tamte panienki, czyli też jest skazaną na długie cierpienia?

Zadrzałem... to byłoby straszne!

— Co się dzieje? ćwierknęła przebudzona mojem wzdychaniem Lilli.

— Nic, nic, śpij! Późno już bardzo.

— Jesteś chory? pewno się przeziębiłeś.

— Zdrow jestem—dobranoc.

W przyległym pokoju bawiono się jeszcze—mama zajrzała parę razy, a później nie słyszałem, kiedy goście odjechali—gdyż spałem twardo. Pierwsza noc na nowem mieszkaniu nie dała mi snów przyjemnych—powitałem z radością błady promyk dnia zimowego. Nasza panienska jeszcze się nie obudziła—Lilli jadła śniadanie.

## ROZDZIAŁ XIV.

### Przesilenie.

---

Stan zdrowia chorej polepszał się, to znów pogorszał, cieszył chwilami, lub trwożył. Usteczka Koci, coraz bledsze, siliły się na uśmiech, oczy zapadnięte coraz głębiej, rzucały wdzięczne spojrzenia za każdą usługę, oddaną przez rodziców, braci, lub niańkę, która płakała ukradkiem.

— Serdecznie was wszystkich kocham, mówiła dziewczynka — jesteście dla mnie tacy dobrzy!..

— Któż nie byłby dobry dla anioła? odpowiadali braciszkanie, a stara niańka szeptała ze łzami.

— O, tak, dla aniołka jasnego!.. Byle go Bóg miłosierny zachował.

— A gdyby zabrał, pochwyciła chora, usłyszawszy narzekanie sługi, modliłabym się za was wszystkich z tamtego świata.

— Panienczko, nie można tak mówić!

— Ja też nie mówiłam dotąd, szepnęła Kocia i dwie łzy potoczyły się po bladej twarzy—myślałam jednak nieraz.

Józefowa łkała głośno, chora patrząc na nią rozplakała się także;—podleciałem do stolika, będącego przy łóżku i, usiadłszy na nim, zacząłem śpiewać.

Śmiech mi zawtórował.

— A figlarzu! wołała Kocia—co robisz? pęknieś chyba kiedy! Takie małeństwo, a co to za głos.

— Pocieszyłeś biedaczkę, rzekła Lilli, ćwierkając wesoło, odpędzilesz precz smutne myśli. Gdybym ja umiała...

— Probuj.

Zaczęło się skakanie po kołdrze, poduszkach i stoliku, dziobanie cieniutkich koronek u rękawa Koci, wreszcie dziewczynka wybuchnęła znowu śmiechem.

— A co Lilli? nie powiedziałem! i ty się przydasz temu biedactwu.

Lilli była uszczęśliwiona.

Po paru dniach weselszych, nastąpiły smutne:—Kocia miała się coraz gorzej. Jacyś panowie obsiedli łóżeczko i, nieznanemi dźwiękami, porozumiewali się z sobą. Gdy opuścili pokój, w całym mieszkaniu słyhać było ciągle jeden wyraz: operacja. Wszyscy go powtarzali.

Ponieważ westchnień przytem i lez było dosyć, zrozumieliśmy, że naszą chorą czeka coś złego. Lecz co? nie wiedzieliśmy dotąd;—alboż nam, ptakom, znane są ludzkie cierpienia!

Dopiero w wieczór poznałem, o co idzie: Tadeusz tłumaczył Romkowi, że mają krajać chorą nóżkę Koci. Krajać—to ból okropny, straszny!

Mama nie opuszczała pokoju, na stoliku zjawiały się różne zabawki, ale dziewczynka przyjmowała je chłodno.

Braciszkanie chodzili na palcach i rozmawiali szeptem, stary wujaszek tylko przez drzwi zaglądał. Józefowa miała oczy podpuchnięte od lez.

A my?..

Nam świat się zaciemnił, choć słońce falą blasków zalewało pokój, dzień był coraz dłuższy i świergotanie krew-

niaczków naszych, wróbli, mówiło o wiosnie.

Cóż ztąd, że wiosna przyjdzie, swójem ciepłem technieniem rozbudzi moc życia, rozsypie mnóstwo kwiatów, gdy tej bladej iskierce pozwoli zagasnąć!

Tak samo pewnie myślała mama, bo gdy jej wzrok przeszedł ku oknu, łzami zachodził.

Ojciec udawał zucha, śmiał się, żartował, wypytywał, czegooby chciała, co mogłoby ją rozweselić.

— Niczego mi nie trzeba, za wszystko dziękuję, odpowiadała stale dziewczynka.

Operacja!

Parę godzin ledwie dzieliło nas oł wyznaczonej chwili;—przedłużała je obawa i niepewność. Gdy nadeszła, był to ranek, w sąsiednim pokoju umieszczono duży, osobliwy jakiś stół, miski z wodą i skrzyneczkę.

Wyniesiono nas z klatką do chłopców.

Ostry zapach sprowadził mi ból głowy—Lilli przysiadła w kącie na wpół żywa, a stara niańka leżała na ziemi, modląc się z płaczem:

— O Matko wielkiego miłosierdzia!  
O, Królowo Niebios! wyrывał się od cza-  
su do czasu jęk z piersi sługi.

\* \* \*  
— Czy bardzo bolało?—pytał naza-  
jutrz Romek, gdy po powrocie ze szkoły  
siedli obaj z bratem przy łóżku sios-  
tryczki.

— Nie nie czułam, kochany Romciu,  
byłam uśpiona. Tylko przed uśnięciem,  
gdy doktor włożył mi na twarz maskę,  
strach mnie ogarnął. Chciałam krzyk-  
nąć, szarpnęłam rękami i zaraz przy-  
tomność straciłam.

— Ach, to było okropne!

— Nie, mój drogi.

— Tak mówisz, a w nocy jęczałaś  
ciągle.

— Kto powiedział?

— Józefowa budziła mamę dwa razy.

— O, Boże! mamusi spać nie dali,  
ja spałam wybornie do samego rana.

— Czy tak?

— Naprawdę, Tadziu.

— I nóżka nie boli?

— Że wcale nie boli, tego nie po-  
wiem, lecz jaki to tam ból, kiedy można  
spać i jeść! Zjadłam przed chwilą śnia-  
danie, bardzo mi smakowało.

— Aniolku drogi, rzekła mama, bądź szczerą, cierpienia nie ukrywaj, mów otwarcie. Wprowadzając w błąd doktora, przedłużysz chorobę.

— Mamusiu, ja żadnych cierpień nie doznaję—jak mamusię Kocham!

— Dopiero przed chwilą się krzywiłaś...

— Czasem zaboli trochę, odrobinę—po cóż mam narzekać, gdy zaraz przestaje! wołę się śmiać.

— Tak, tak, śmiej się, Kociuniu—i my z tobą! rzekli braciszkwowie.

— Najchętniej.

Od czasu do czasu znać było jednak, że cierpi, lecz nie mówiła o tem i słusznie. Po tylu dniach zgryzoty, ojciec, mamusia i bracia potrzebowali wypoczynku—wszyscy oni dużo wycierpieli.

Jednego wieczora, tatuś żartował z chorej, gdy oglądała zabawki kupione w ostatnich czasach. Cieszył ją każdy drobiazg, coraz wołała:

— Jakie ładne! jakie dowcipne!

— Kiedy przyniosłem, nie spojrziałaś nawet, grymasnico!

— Tatku, dziś jestem inna—zupełnie inna. Wówczas, naprawdę...



— Nie tłumacz się, przerwała mama ze łzami w oczach, rozumiemy dobrze.

Dziewczynka zarzuciła ręce na szyję mamy—tatuś miał powieki wilgotne; otarł je żywo chustką i zawołał:

— No, no, dosyć czułości. Patrz, Zosiu, ona płacze!... uszy do góry, Kotka!.. nie płakać!.. E, zawsze tak z babami!

Dziewczynka przytuliła do ust dłoń ojcowską i szepnęła z uśmiechem, który jej twarzyczkę rozpromienił:

— Drogi tatuniu, czemu się odwdzięczę tobie i mamie!

— Masz czas, kochanko—sposobów też nie brak, lecz przedewszystkiem wdzięczność należy się Bogu. Gdyby nie Jego miłosierdzie, musiałabyś umrzeć; On kierował naszymi krokami przy ratowaniu twego zdrowia, On prowadził dłoń chirurga, On też zagoi nóżkę, a tobie doda sił, które już potrosze wracają.

— Boże mój, szepnęła Kocia—teraz dopiero widzę, jak miło być zdrową. Gdy ciągle zdrową byłam, nie rozumiałam tego.

— Zwykle tak się dzieje, odparł tatuś—zaczynamy szanować zdrowie, gdy go brakło. Szczęśliwy, kto je od-

zyskał, a odzyskawszy, potrafi utrzymać na długie lata. W twoim wieku zapomina się łatwo o przejściach, jak obecne, ale mam nadzieję, że choć pewien czas będziesz ostrożna.

— Tatku, niema obawy, rzekł Tadzio. Ze wszystkich dziewczynek, jakie znam, Kocia jest najpoważniejsza.

— Ho! ho! i Kocia umie figlować, czemu się nie dziwię; ktoby żądał powagi od takiego dziecka! Tylko uprzedzam, że gdyby zaczęła skakać i gonić się z wami po dawnemu, zaszkodziłaby sobie z pewnością. To też nie zapraszajcie jej nigdy do waszych zabaw;—doktor utrzymuje, że prawdopodobnie upadła kiedyś i stłukła mocno nóżkę...

— Nigdy, nigdy, tatku!

— Ja nie wiem—to zdanie lekarzy. Dla bezpieczeństwa sami pilnujcie, aby podobny wypadek w przyszłości się nie trafił.

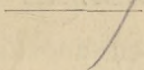
— Będziemy pilnowali, rzekł Tadzio.

— Lubiałam gonić się po pokoju, westchnęła Kocia—teraz nie będzie mi wolno!

— Gdy przejdzie obawa powrotu choroby, goń się, ile zechcesz, tymczasem trzeba być ostrożną.

— Tymczasem!.. to może potrwa parę lat... Niech tatuś sam osądzi, czy takiej starej pannicy wypada bawić się po dziecinnemu?

— Wypada! wypada! A zresztą, zobaczymy!..



## ROZDZIAŁ XV.

### Jednonóżka.

---

Nieprędko jednak nastąpiło wyzdrowienie. Odbywały się opatrunki, sprawiające biednemu dziecku ból dotkliwy. Kocia zaciskała ząbki, aby nie wydać jęku i rodzicom zmartwienia nie powiększać. W obecności mamy strzegła się nawet łez, którym przy tatkum pozwalała płynąć, a gdy pytał co to znaczy, odpowiadała z uśmiechem:

— Nic, nic...

Łezki osychały, twarzączka jednak mieniła się i bladła, nieraz nawet znacznie dłużej, niż twał opatrunek.

Odmiana ku lepszemu postępowała leniwym krokiem;—nareszcie pozwolono chorej wstać. Straszny to był dzień—wspominam go z przykrością.

Zapowiadał się doskonale. Oczekiwany bardzo długo i kilka razy odkładany, stał się uroczystym; chłopcy myśleli nawet zaprosić kolegów i parę przyjaciółek chorej, lecz tatuś sobie nie życzył.

— Później, później, mówił—gdy nasza panna będzie silniejsza, zrobimy bal.

Uśmiechnięta wesoło, Kocia pozwoliła się ubierać, żartując przytem, że nianusia niby małemu dziecku wkłada ponczoszki i obuwie, że suknia wisi jak na kołku i jest bardzo krótka.

— Moja pannusia czasu nie traciła, rzekła Józefowa.

— Jakto?

— Leżąc rosła, niby na drożdżach.

Tatko sam podniósł Kocię z łóżka i postawił na ziemi; chora, w ogóle bardzo odważna i cierpliwa, krzyknęła:

— Boję się, boję! ach, upadnę!

— Trzymamy, nie upadniesz—zapewniała mama, podpierając dziewczynkę z jednej strony, gdy ojciec wsparł ją z drugiej. Próżno tłumaczyli i prosili, by stąpnęła śmiało chorą nóżką, Kocia zrobić tego nie mogła, czy też nie chciała. Rozplakała się rzewnymi łzami, a przy-

kład jej podziałał na braciszków i Józefowę.

— Serduszko ty moje, wyrzekała stara niańka — nie masz władzy w nogach — nie masz, skarbie mój jedyny. Kiedy przyszli z nożem, zaraz wiedziałam, że tak będzie.

Ojciec się rozgniewał.

— Bądźcie cicho! krzyknął na służbę i synów. Józefowa zupełnie tutaj niepotrzebna, a Romek i Tadzio mogą wrócić, gdy im odejdzie chęć do płaczu.

Chłopcy wyszli — w chwilę później, niańka, głośno łkając, opuściła pokój. Tatko i mama zaczęli objaśniać córeczkę, że chorą nóżką tak samo jak zdrową władać powinna.

— Stań, prosił tatko, trzymam cię, nie upadniesz.

— Śmiało, śmiało, zachęcała mama.

Próżne były wszakże usiłowania rodziców: Kocia stała na jednej nóżce, a gdy już miała oprzeć się na drugiej, strach brał górę. Drżała jak w febrze i lzy gradem zalewały twarzyczkę bladą, mizerną. Po kilku daremnych próbach, tatko zaniósł ją do łóżka; — o chodzeniu, przynajmniej na dziś, nie mogło być mowy.

Przeszedł wieczór, który nam tyle obiecywał: Kocia leżała smutna, Tadzio i Romek zajęli się nauką, Józefowa siedziała w kuchni. Doktor wy badał chorą bardzo troskliwie, zmierzył od stopy do ramienia, czego dotąd nie robił i razem z tatusiem wyszedł.

Gawędzili długo w sąsiednim pokoju; mama czytała Koci zajmujące przygody trzech białych myszek. Nazajutrz przyniesiono jakieś narzędzie. Józefowa chwyciła się za głowę i uciekła z krzykiem.

— Patrz, świergotała Lilli — nowe nieszczęście...

— Nie wyrzekaj, wszak nic nie wiemy, pocieszałem, a sam byłem w strachu.

Czy operacja? czy znów ból czeka to biedactwo?..

— Moja córusia ładnie się ubierze i sama wyjdzie do wujaszka, rzekł tatuś.

— Ach, ja się boję!

— Bądź spokojna, wszystko pójdzie jak najlepiej — zobaczysz.

Kocia przestała się opierać, lecz gdy tatko ją uniósł i spuścił na ziemię, wybuchnęła płaczem. Doktor znajdujący się blisko, wsunął jej spieszenie pod ramiona dwie silne podpory.

— Kule? zawołała dziewczynka, wylękała nieco—kule, tatusiu?

Po chwili już się cieszyła z drewnianych nóżek, zakończonych trzewiczkami gumowemi, aby nie stukały o podłogę, i przeszła z ich pomocą do sali, oczekiwać wuja.

— No cóż—bardzo niewygodnie? pytała mamusia, gładząc jasne włosy Koci.

— Nie, mamusiu, owszem—bardzo dobrze. Gdy zczasem więcej się przyzwyczaję....

— Będą mogły pójść do pieca, rzekł doktor.

— Do pieca?

— Czy też na śmietnik, to zależy od twojej woli, kochane dziecko.

— Będą niepotrzebne?

— Ależ tak—idzie nam o parę dni najwyżej.

— Czemuż nie mogę teraz chodzić sama?

— Tylko ze strachu;—gdyby ci się udało go przewyciężyć, biegłabyś jak zając.

Kocia posmutniała.

— Nie—nie mam odwagi, szepnęła cichutko.



— Mniejsza o nią! zawołał doktor. Przy pomocy stolarza, który nam te patyki wystrugał, jakoś sobie poradzimy. Tatusiowi pewno przykro było, gdym mu wczoraj tę myśl podsunął, ale cóż robić, kiedy córeczka sądzi, że ma nóżkę maślaną, na której oprzeć się nie sposób. Zaczekamy, aż to maselko stwardnieje.

Niedługo potem przyszedł wujaszek i bardzo się ucieszył, że Kocia spełniła jego żądanie. Maszerował z nią po sali, wołając: raz, dwa, raz, dwa! o—tak, równo—nie trzeba prędezej.

Dziewczynka żartowała z wuja, że ma długie nogi, więc w kilku krokach przez pokój skacze, ona zaś, swojemi szczudelkami drepcze, stojąc w miejscu.

— Tak źle nie jest, pocieszał wujaszek—i szczudelka doskonale się zwiłaja, tylko trzeba odrobinę wprawy.

Wieczorem, Tazio i Romek zapalili prześliczne ognie różnokolorowe; Lilli zachwycała się niemi, ja ledwie nie wypatrzyłem oczu. Kocia serdecznie dziękowała chłopcom za tę rozrywkę. Na zabawie i śmiechu upłynęło kilka godzin; tylko Józefowa mruczała, spoglądając od czasu do czasu w stronę chorej.

— Do czego też te, panie odpuść, pokraki ma panienska dźwigać? Niechby lepiej chodziła sama.

— Będzie chodziła, upewniali chłopcy, doktor przecież mówił.

— Nie uwierzę, aż zobaczę! fuknęła, machnąwszy ręką.

\* \* \*

— Ciziu, Lilli! jak się macie? zaświergotał mi nad uchem głos dobrze znany;—patrzę—ciocia makolągwa.

— To ty? z kąd się wzięłaś tutaj?

— Przyszłam odwiedzić waszą panienkę. Wiem—wiem, chora bardzo, nóżkę jej odjęli.

— Kto mówił? zapytałem oburzony.

— Nie odjęli?.. więc tem lepiej, drogi Ciziu. Ach, moi najdrożsi, przyjechałam tu z panem; nazywa się Lunio, dobry chłopczyk, ale niebardzo mądry.

— Zawsze plotkarka!

— Nie, mówię prawdę. Toć on wierzy bajkom, że jaskółki przepędzają zimę w wodzie. Pocieszny bardzo!

— Szczygiel nam mówił, odparła Lilli, że prości ludzie po wsiach mają to przekonanie; dziecko słyszało od niańki...

— Dowie się czasem, że tak nie jest, bo ptak nie mógłby wyżyć w wodzie. Jaskółki wraz z innymi ptakami odlatują do ciepłych krajów.

— Mnie uczysz? mnie? Jabym też czego nie wiedziała? oho! wiem ja wszystko.

Makolągwa zmieniła się bardzo: piórka na niej lśniące, utyla, nabrała śmiałości. Bystremi ślepkami ogarnęła cały pokój.

— Ładnie tu, świergotała, lecz u nas jeszcze ładniej; wstyd mi pomyśleć o dawnem mieszkaniu; — była to straszna bieda, a jakie niewygody!.. Na piecu, w kurzu i hałasie ledwo rozmówić się było można. Nie wiem, dokąd trwałaby ta męka, ale traf szczęśliwy....

— Ciotuniu, krzyknęła Lilli, chyba nie pamiętasz, co nas wyгнаło od Musiałków?

— A—a! przypominam sobie. No, tak, lecz dziś jestem rada ze zmiany losu; żyję pomiędzy państwem, służę mi lokaje—mam piękne lustra, dwie łazienki, siemię tłuczone i przebrane z plewek, jadam biszkopciki, pomarańcze, winogrona, często ananasy;—wczoraj piłam wino.

Sami rozumiecie; że w takich wygodach, mam teraz inne wymagania. A dzieci! oho! moje dzieci ani podobne! zmadrzały i wyprzystojniały niesłychanie. Muszę dodać, że jesteśmy na letniem mieszkaniu;—zielono tam, listki już się rozwinęły, a jaka moc wróbli!

— Bardzo lubię wróble.

— Nie ma za co. Żebraki i rabusie, moja kochana, nie pozwalam dzieciom wdawać się z nimi.

— Ciotuniu, to nasi braciszkwowie!

Makolągwa ćwierknęła ze złością i chciała coś odpowiedzieć, gdy wszedł chłopczyk, a za nim pies jakiś ogromny wpadł, machając ogonem.

— Medor, wołał chłopczyk — nie znasz czyżyków? chodź, zaraz ci je pokażę.

Lilli, którą już w rękach trzymał, uciekła, Medor dobył głosu, czem nas przeraził. Chowaliśmy się po kątach;— Medor skakał podbudzany przez Lunia, skaczącego również; makolągwa siedziała na dawnym miejscu i podnosiła w górę lebek. Dość, gdyby zawołała:

— Uspokójcie się, nie uciekajcie!

Ocaliłaby nas tem słowem. Przypuszczam, że sama nie wiedziała, co ro-

bić. Oprzytomniałem trochę, gdy z drugiego pokoju doleciał mnie głos Tadzia:

— Muszę zobaczyć, co się tam dzieje; Medor szczeka, a Luniek zanadto wesoły.

Jednocześnie ktoś drzwi otworzył. Wpadła w nie obłąkana ze strachu Lilli, ja też ledwie dysząc, rzuciłem się do rąk chłopczyka.

— Luniu, zawołał Tadzio — co wyprawiasz? gdzie jest drugi ptaszek?.. ten biedak strasznie wylękniony, tak mu serce bije!

Tulił mnie do twarzy, głaszcząc i pieszcząc uspokajał. Przymknąłem powieki;—rzeczywiście trzeba mi było chociaż chwilowego odpoczynku;—miałem ochotę zasnąć, gdy w przyległym pokoju zrobiło się zamieszanie, powstał gwar i krzyki:

— Pomóżcie, ach, pomóżcie! ratujcie biedną!

— Prędejj, prędejj!

— Kiedy jest wysoko—nie mogę dosięgnąć!

— Postawcie krzesło, niech wejdzie—inaczej nie sposób.

Tadzio ze mną razem do pokoju się rzucił.

— Co to? zawołał, puszcżając mnie z rąk.

— Nieszczęście, wypadek! ach, raturuj, Tadziulku! krzyknęła Kocia i, zapominając o kulach, które z hałasem upadły na ziemię, przybiegła do brata.

— Patrz, ona zginie, ona się zabije!

— Kto? gdzie? pytał chłopczyk.

Zamiast czekać, aż Kocia wyjaśni Tadziowi, co tak wszystkich przeraziło, że biegają, krzyczą, łamią dłonie, a Romek na stole po krzeselku w górę się skrada — frunąłem...

Zaczepona nóżką o ogniwo łańcucha lampy, szamotała się Lilli. Krew płynęła obficie, moja przyjaciółka świergotała żalonym głosem:

— Jaki ból, ach, nie wytrzymam!

— Cierpliwości, szepnąłem, pochylając się nad nią — ten dobry chłopczyk cię uwolni. Boże, ach, Boże, byle prędzej, byle mógł ręką dostać.

— O, co za ból! ratunku!

W tejże chwili Romek biedaczkę pochwycił i, ostrożnie, naprzód z krzeselka, potem ze stołu spuścił się na ziemię. Józefowa oblała Lilli zimną wodą — krew przestała płynąć; wówczas dopiero zobaczyli, że nóżka jest złamana

przy samem zgięciu. Biedna Lilli trzęsła się i wyrywała, gdy Tadzio chciał złamanie ścisnąć bandażem.

— Zestawię, pytał—może się zrośnie—co, mamusiu?

— Owszem, próbuj.

Bandaże okazały się za szerokie, zmniejszyła je mama; gdy Tadzio, mimo chęci najgorętszych, nie mógł nic zrobić, wzięła się do opatrunku. Lilli nie przeszkadzała już teraz—pojęła o co idzie, lub może straciła przytomność.

— Zamięczy się, biedaczka, wzdychałem rozżalony. Droga Lilli, gdybym mógł ci dopomódz.

— Oj, cierpię strasznie.

— Dajcie ptaszynie pokój, rzekł tatuś, który na tę chwilę wrócił z miasta i przyszedł zobaczyć, co się stało. Złamała nóżkę—na to nie ma rady.

— Ojczuniu, chcemy jej pomódz.

— Zostawcie tę sprawę naturze. Patrz, nóżka ledwie się trzyma, czy możesz sobie wyobrazić, że zrośnięcie jest prawdopodobne?

— A więc cóż? pytały dzieci.

— Mojem zdaniem, najlepiej odciąć ją natychmiast.

— Za nic w świecie, tatku! wołała Kocia.

— Jak chcesz—nie będę nalegał. Po paru tygodniach nóżka uschnie i sama się oderwie, do tego zaś czasu, będzie ptakowi próżnym ciężarem.

— Ach, biedna czyżyczka!

— Nie płacz, Kociu, mówił tatuś— zobaczysz, ona jutro do jedzenia się weźmie i zacznie skakać na jednej nóżce.

— Tatko mnie pociesza.

— Przekonasz się, córusiu.

— Będzie skakała? pytali ze zdumieniem chłopcy.

— Tak, chodzić bowiem na jednej nóżce nie może, lecz dla niej to wszystko jedno.

Uwolnili biedaczkę słabą i drżącą;— zasnęła niedługo w kącie klatki. Naza jutrz nóżka była czerwona i opuchnięta; dzieci pragnęły chorą obejrzeć, lecz ojciec kazał zostawić w spokoju.

— Gdy nie pomożemy, nie szkodziemy przynajmniej, rzekł tonem stanowczym.

Posłuszna woli ojca, Kocia zaglądała do klatki, chorej wszakże do rąk nie brała. Gdy Lilli świergotała ze mną, ucieszyła się niesłychanie.



— Mamusiu, czyżyczka świergocze, tatku, ona już jadła trochę!

— Szkoda tylko, że musi nóżkę za sobą włożyć, gdyż odciąć nie pozwoliłaś.

— Niech tam! odparła ze łzami. Możeby ją bolało... nie mogę o tem myśleć.

— Więc nie myśl! patrz, jaka wesoła.

Gdy przyszedł wujaszek, serdeczny nasz przyjaciel, obejrzał Lilli; zrobił to z wielką ostrożnością, nawet jej nie uraził.

— Zgoi się, rzekł. Jednonóżka ma, jak widzicie, dobry humor, oczki jej się śmieją, zapalenie w ranie ustępuje. Ale uprzedzam, że takie jejmościanki robią się za mało płochliwe, co im szkodzi nieraz. Lepiej niech ptak przed ludźmi ucieka; bezpieczniej mu i zdrowiej gdy sam się pilnuje, niż gdy trzeba ciągle pamiętać o nim.

— Droga Jednonóżka!

Nazwa podobała się wszystkim i, od tej pory, Lilli została Jednonóżką.

## ROZDZIAŁ XVI.

### Goście.

---

— Goście! krzyknęła stara Józefowa, ukazując we drzwiach twarz czerwoną ze wzruszenia i uciechy—goście!

Chłopcy zerwali się z krzesel; za nimi Kocia wybiegła z pokoju stołowego, gdzie wszyscy się zbierali po parę razy na dzień, a i nas też w klatce na balkonie umieszczono.

Dobrze nam było, tylko gwar ulicy w pierwszych dniach straszyl, potem nuzył. Rozmawialiśmy bardzo hałaśliwie, nie dlatego, żeby przekrzyczyć tę wrzawę, lecz ponieważ swiergocząc zwykłym głosem, nie słyszeliśmy się wcale. Złościło mnie to, a Lilli—Jedynóżka żartowała z mojej niecierpliwości.

— Mów głośniej! darłem się, aż mi huczało w uszach.

— Pogawędzimy—tłomaczyła, później, w pokoju, tymczasem patrz, jakie mnóstwo ludzi, zwierząt, powozów!.. Chłopak ustawił skrzynkę i dobywa z niej głos.

— Czy tam w środku co siedzi?—nie może być, aby skrzynka sama śpiewała.

Na pobliski balkon wybiegło dwoje dzieci.

— Kataryniarzu, wołało starsze, kataryniarzu!

Zaciekawiony, wychyliłem się zobaczyć.

— Kataryniarzu, cyt, cyt... kataryniarzu!

Chłopak ze skrzynką przysunął się bliżej—śpiew zamilkł.

— Grajcie nam, ale ładnie, damy pieniędzy, wołano z balkonu.

Po chwili ukazała się tam jeszcze kobieta z niemowłciem, a starsi malcy tupali i śpiewali, robiąc tak dużo hałasu, że to, co zwali graniem, ledwie dochodziło do nas. Gdy chłopak przestał, rzucili mu zapłatę, kłaniał się i grał znowu. Niemowlę skakało na rękach niańki, wykrzykując ze starszymi.

Kobieta śpiewała:

Za lasami, za górami,  
Biegnie wilczek z pazurami.  
Gdzie tak pędzisz, mości panie?  
Szukam owcy na śniadanie.

— Oj, wołały dzieci, były nie spotkał,  
nianiusiu!

A tam jedna idzie drogą,  
Wlecze się noga za nogą...  
Dawno już mam ją na oku,  
Więc muszę przyspieszyć kroku.

— Nie trzeba, gniewały się dzieci—  
no, my nie damy!

Ach, uciekajże, owieczko,  
Bo już rabuś niedaleczko,  
Zdusi, schrupie, nie daruje,  
Któż cię wtedy poratuje?

Dzieci powtórzyły straszliwym głosem:

Któż cię wtedy poratuje!

Huśtając niemowlę, niańka ciągnęła dalej:

Owca słucha, głowę kręci,  
Zrozumiała, co się święci...  
I pomyka, że w sto koni,  
Już jej teraz nie dogoni.

Już jej wilczek nie dogoni! wtórowały dzieci. Ile tam było uciechy, że owieczka nie zginęła!—rumiane buziaki jaśniały radością, Jednonóżka nie mogła im się napatrzeć.

Kataryniarz odszedł, dzieci śpiewały dalej—niańka zaczynała coraz inną piosnkę, a wszystkie bardzo ładne. Pierwsza jednak, o wilku, podobała mi się najbardziej i dlatego utkwiała w pamięci.

Gdy balkon opustoszał, zajęliśmy się znów ulicą, która wrzała ciągle. Widziałem dziewczynki z lalkami, mało co mniejszemi od nich samych, pieski jadące w powozach i rozmaite osobliwości. Wreszcie już chciałem zasnąć;—ktoś wpadł na balkon i krzyknął mi nad uchem.

— Trzymają czyże w klatce? pierwszy raz widzę coś podobnego.

— Cicho, Antoś...

— Paradne! paradne!

— Przestań, bardzo cię proszę.

— Że jesteś wesoły, wiem nie od dzisiaj, rzekł Romek, ale wytłomacz, co jest w tem śmiesznego, że trzymamy czyżyki w klatce? Okno otwarte, wyle-

cialyby na ulicę—kto mógłby ich dopilnować?

Antoś milczał—spojrzałem na niego.

Krepy był, rumiany, wyższy od Tadzia—wesołość biła mu z oczu i z całej twarzy. Za nim stał drugi chłopczyk i patrzył w ziemię, jak gdyby się wstydział.

— Tadzio ma słuszość, rzekł—wytłomacz się, Antosiu—może nas wszystkich rozweselisz.

— Trudno, odparł grubasek, gdyż albo udajecie, albo nie macie wyobrażenia o niczem. Cobyście też powiedzieli, gdybym w tym pokoju chował prosiątko?

— Przestań—upominał Józio, mówmy o czem innym.

— Pozwól mu, niech kończy—ciekawym jestem do czego zmierza, odczywał się Romek.

— I ja, dodał Tadzio.

— Taka wspaniała klatka—w niej czyżyki!.. jeśli to nie zabawne, to już nie wiem.

— No, no, dziwił się Romek.

— Kto tak paradnie czyże utrzymuje? to śmieci!

— Przepraszam, zawołała nasza droga opiekunka, czyżyki śmieciami nie

są—dostałam je od braciszków i kocham serdecznie.

— Jeżeli tak, rzekł Antos—daruj, kochana Kociu...

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, że to ptaszki bardzo rozumne; gdy byłam chora i smutna, pocieszały mnie figlami, śpiewem, a umiały wybrać chwilę odpowiednią. Ile razy się zamyśliłam—już, już mam płakać—czyżyk wyśpiewuje, czyżyczka ciągnie za rękaw, to mnie bawi, rozśmiesza i zapominam o płaczu.

— Ty zawsze z czemś się wyrwiesz, karcil Józio brata. Daruj mu, Kociu.

— Bądź spokojny, rzekł Romek—nasza siostrzyczka jest wyrozumiała—dąsać się nie umie.

— Przedewszystkiem trzeba ztąd zabrać ptaki. Antosiu, mój kuzynku, wynieś je do pokoju sypialnego.

Chłopak wypełnił żądanie Koci z taką ostrożnością, jak gdyby lękał się nas uszkodzić i ani jedna kropla wody nie padła na podłogę, chociaż mieliśmy jej pełno w łazience.

— Bo widzisz, tłumaczyła nasza dobra pani—te biedactwa rano wstają, usnęłyby już pewno, lecz na ulicy tyle gwaru...

— Prawda, nie wiem, jak możecie wytrzymać!

— Tobie będzie w pierwszych dniach trudno — cóż dopiero ptaszkom! Nasz dzień jest o wiele krótszy, śpimy i przy słońcu — one budzą się, gdy słońce wstaje, a nawet wcześniej.

— Nie przecież nie robią.

— Nie pracują, odezwał się tатko, wchodząc do pokoju, ale powiedzcie sami, w jakim są ciągłym ruchu! Na wolności ptak szuka sobie pożywienia, buduje gniazdo, prowadzi zatem życie bardzo czynne; uwięziony nie potrafi na miejscu usiedzieć, gdyż z dziada pradziada przywykł mieć jakieś zatrudnienie.

— Ojczulku, rzekł Tadzio, zastanawiałem się nieraz, że gdyby kto umiał obliczyć drogę, jaką ptaszki w klatce przebywają...

— Rachmistrz! żartował Antos — dopiero ciekawe obliczenie...

— Ciekawe, dodał ojciec. Jestem pewny, że rezultat zdziwiłby cię mocno. Jakesz zdrow i silny, wątpię, czy mógłbyś im dorównać.

— Wujaszek żartuje!



— Bynajmniej, daję ci słowo. Zbierze się bezwątpienia parę mil drogi dziennie, a ponieważ latem śpią bardzo mało, można podziwiać ich wytrwałość.

Józio przyglądał się z zajęciem żwawym ruchom Jednonózki;—pomimo kalectwa, była ona zgrabna. Ja też skakałem, gdyż nabiegać się lubię; on patrzył i patrzył, jak gdyby zobaczył coś nowego.

Podano samowar, wszyscy siedli do herbaty. Rodzice Józia i Antosia mówili dużo o swojej wiosce, przyjemnościach lata i rozrywkach, jakie dla kochanych krewnych obmyślili.

— Józio powiada, że w tym roku jest moc poziomek, zaczęła Kocia, gdy Antoś, któremu usta się nie zamykały, przerwał na chwilę.

— Tak, potwierdziła mama chłopczyków, ale jeszcze niedojrzałe.

— Ojciec przyrzekł dawać nam konie, ile razy zechcemy wybrać się do lasu.

— Dam, zawsze dam.

— Można przecież i piechotą, dodał Tadzio.

— Ja wolę jechać, odparła Kocia, żebym miała siłę chodzić po lesie.

— A przytem, żartował tatuś, gdy nazbierasz wielki dzban jagód, czyżbyś go uniosła?

— Prawda, tatku, ciężkiego dzbanka nie udźwignę; lepiej na wozie postawić.

— Moja córeczka nie wie, jak trudno zbierać kwartę, bodaj kwaterkę poziomek; nie ma wyobrażenia, ile trzeba się naschyłać i napracować.

— Napracować, tātku?

— Zobaczysz! wszystkie stawy bołą.

— Nie może być!

— No, no, sama kiedyś przyznasz.

— Dzieciom może łatwiej, dodała mama i, w ogóle, osobom niższego wzrostu. Nigdy nie zapomnę, jak strasznie się zmęczyłam podczas pierwszej wyprawy na poziomki. Przez parę dni następnych ledwie mogłam chodzić, a każde schylenie sprawiało mi ból.

— Pewno mamusia bardzo dużo nazbierała?

— Nadzwyczaj dużo.

— Ile?

— Nie chcę się przechwalać, moje dzieci.

— Ile, ile? droga mamusiu! ile, cioteczko?

— Pełną szklanke! prawda, że bardzo dużo.

Wszyscy się śmieli, a tatuś dodał:

— Drugim razem było jednak więcej.

— Znacznie więcej, bo tyś mi pomagał, chcąc mnie uwolnić od żarcików całego towarzystwa. Uzbieraliśmy we dwoje blisko trzy kwarty.

— Chyba mamusia nie zjadła przytem ani jednej jagódki? wypytywała Kocia.

— Nie pamiętam—wiem tylko, że mój postępek zyskał uznanie. Wszyscy go podziwiali, nikt nie żartował.

— Nie wiedzieli o pomocniku?

— Udawali, że nie wiedzą.

— Zobaczy mamusia, ile ja nabieram.

— Pomożemy—co? dobrze, Kociu? pytali chłopcy.

— Dziękuję—już ja sama... Tylko nie wiem, czy znajdę takie miejsca, gdzie poziomki rosną;—w dużym lesie mogą nie trafić do nich.

— Nauczysz się, upewniali chłopcy; zdaleka się czerwienią, co, zwłaszcza po rosie, prześlicznie wygląda.

— Zupełnie jak koraliki, dodał Tadzio.

— Ładniejsze, bo błyszczące.

— Ja, choć owocu nie ma, chwalił się Antoś, po listkach odróżnię od borówek i czarnych jagód.

— Byłoby dziwne, gdybyś nie odróżniał, rzekła mama. Wychowany na wsi, powinienes znać wszystko, co się znajduje w polu i w lesie. To twój obowiązek.

— Przyznam się ciotuni, wtrącił Romek, nie byłem nigdy w lesie, w którym jest dużo poziomek.

— Cóż tam za lasy bez poziomek! śmiał się Antoś. U nas wszystkiego pełno—możnaby zostać pustelnikiem i od wiosny do zimy nie znać głodu.

— Do zimy? powtórzył Józio—zimą, pan pustelnik miałby kuropatwy i zające.

— Prawda! tylko musiałby do nich strzelać. Na jesieni nie przejadłby grzybów...

— Znam trochę grzyby, rzekła Kocia. Na letnim mieszkaniu, mamusia uczyła mnie odróżniać grzyby i bedłki jadalne od trujących. Płakać mi się chciało, że takie śliczne, czerwone w białe kropki, są na nic. Mamusia powiada,

iż tak samo, gdy kto ładny a niedobry, nie nie wart.

— Pięknie mówisz, Kociu, zawołał wujaszek. Ale tyś bardzo pojętna uczennica, jeżeli rzeczywiście znasz wszystkie odmiany bedłek.

— Znam, wujciu.

— Chyba nie wszystkie, odparł Antoś. Jest ich dużo — gdzieżbyś pamiętała!

— Nie wiem; zresztą, może u was są jeszcze inne. Spytaj mamusi, czy prawdę mówię. Przy końcu lata sama najczęściej grzybki obierałam i krajałam; mamusi nie przeglądała ich wcale, tak mi już wierzyła.

— A poziomki?

— Były w sąsiednich lasach, za daleko dla mnie. Już wtedy na nogę się skarżyłam; bolała czasem i doktor zabronił dużo chodzić.

## ROZDZIAŁ XVII.

### Co z nami zrobią?

---

— Jedziemy na wieś! na wieś! rozbrzmiewało teraz ciągle po całym domu. Tym wyjazdem bardzo cieszyła się Kocia, a jeszcze bardziej stara niania, gdyż, jak mówiła, są to jej „kochane strony.“

— Ach, paniczkuje moi, zwierzała się chłopcom—wielkie miasto ma różne cuda, o jakich nie śniło się ludziom prostym, ale zawdy ziemia rodzona jest najmiłsza, powietrzem wioskowem odechnąć najśłodziej. I umrzeć tam błogo;—człowiek zostanie na wieczność pomiędzy swoimi.

— Ale nie umierajcie, nianiu! prosiła Kocia—któżby z nami do Warszawy

wrócił, ktoby w każdej chwili o nas pamiętał!

Józefowa ucałowała dziewczynkę, rada widać prośbie.

— Robaczku mój, odparła — nie martw się, nie martw — z wielkiej uciechy głupstwa plotę. Siła już lat dźwigam, ale może Bóg miłosierny jeszcze pofolguje.

— Pofolguje! pofolguje! zapewniał Tadzio. Uspokój się, Kociu, Józefowa wróci z nami i zawsze z nami będzie, a gdy dorośniemy, zabierzemy ją od rodziców i damy kącik spokojny na stare lata.

— Ja to zrobię! dawno już postanowiłem, rzekł uroczyście Romek.

— Bardzo przepraszam! zawołał Tadzio — Józefowa nie była twoją, tylko moją nianią.

— I moją! i moją! pamiętam doskonale, powtarzała Kocia. Wszystko, co chcecie, wam ustąpię, Józefowej nigdy; — ona musi być przy mnie, musi ze mną razem mieszkać.

— A gdzież panienka od mamy się wyprowadza? pytała Józefowa żartobliwie. Może za daleko dla mnie starej?

Kocia stuknęła się palcem w czoło.

— Prawda, macie słuszość, kochana nianiu. Nigdzie się nie wyprowadzam—to chłopcy tak mi głowę zaplatali. Jestem u mamusi i tatunia, a Józefowa przy nas.

— Dzieciatko moje, rzekła Józefowa, głaszcząc jasną główkę Koci—na kraj świata poszłabym z tobą.

— Tymczasem wszyscy jedziemy do Mościc! zawołał Tadzio—Wiwat! niech żyją Mościce!

— Niech żyją! i ja to powiem. Druhich takich ze świecą szukać, tylko ptasiego mleka brakuje tam ludziom:—są pszczołki i ryby i grzyby, ziarna dostatek, a dla inwentarza łąki i pastwiska.

— Co to inwentarz, nianiu?

— Koniki, bydelko, gadzina kartoflami żyjąca...

— Gadzina?.. tego nie znam.

— Toż świnka, prosiatko—najmilsze stworzenia, jakie są na świecie.

— Najmilsze?.. nianiu, nianiu, coście powiedzieli! Cóż miłego jest w świnkach?

— Sto razy wolę konie, rzekł Romek.

— Ja psy, dorzucił Tadzio.

— A ja ptaszki, moje cz. zyki drogie! zawołała Kocia.



— Et! ptaszek nie wielka obrada:—  
płochliwe to, fru! i już go niema!...  
Świnka zaś, na czterech nogach, obsadna  
i pewna, a jaka przypochebna, mówię  
panience!..

— Może być, nianiu, lecz wole  
ptaszki.

Lilli zaświergotała, ja też zacząłem  
śpiewać, lecz przerwał mi piosnkę la-  
ment dziewczynki.

— Oh, nianiu droga, co ja też zro-  
biłam!

— Co, panienko? co, aniolku? py-  
tała wystraszona Józefowa.

— Wszyscy jedziemy na wieś, Jul-  
kę mamusia oddała, Józefowa z nami...

— Bogu tylko wiadomo, jak się  
cieszę!

— A moje ptaszki? co z niemi bę-  
dzie? zostaną tutaj same, zupełnie same.  
Jak mogłam zapomnieć!.. dopiero teraz  
na myśl mi przyszły, kiedy jutro wyjeź-  
dzamy. Wstyd mi i żal, nianiusiu, żem  
ja taka niedobra, a one biedne.

— Nie martw się, robaczku.

— Aba! robaczku,—śliczny roba-  
czek! Nianiusia dobrze mi radzi: niech  
ptaszyny cierpią, abym ja tylko była

spokojna. Martwić się będę dotąd, aż wynajdziemy jaki sposób.

— Nasza pani pewno go już wynalazła; wiem ci wiem, ma ona czas na wszystko i wszystko w swojej porze obmyśli naprzód.

— Tak mówicie? pójdę do mamy.

Wybiegła z pokoju, ale wróciła zaraz, bo mamy nie było; wyszła z Józiem i Antosiem po sprawunki, które załatwiała teraz ciągle. Biedna Kocia błąkała się po pokojach sama jedna, gdyż chłopcy, zamknięci u siebie, „kuli” ostatni egzamin. Wzdychała ciężko, powtarzając:

— Gdzie was, drogie ptaszęta, podzieję? co z wami zrobię?

Strach mnie ogarnął, gdy to mówiła. Nie dość, że będzie tęskno i smutno, co zrobimy, gdy zapasy jedzenia się wyczerpią? A woda? a świeża salátka? od czasu do czasu trochę owoców? Mieszkanie zamkną, kto pomyśli o nas?.. dziwne, że ludziom dobrym i rozumnym przypominać trzeba!

— Dlaczego jesteś taki smutny? pytała Lilli.

— Zmartwiony, moja droga — tu idzie o życie.

— Uspokój się, jeszcze nie wyjeżdżają.

— Ach, Lilli, co za lekkomyślność! dawniej byłaś inna.

— Taka sama; nie lubię próżno się martwić. Panienska ma nas w opiece i zaradzi wszystkiemu.

— No, no!

— Gdybyśmy się zamartwili, nie nie pomożemy, ona zaś pomoże, bo nie wyjedzie, dopóki z nami ładu nie zrobi. Oto lepiej, zabaw ją, zaśpiewaj—widzisz, płakała biedaczka!

Gdzie mi tam było do śpiewania!.. widziałem przed sobą dni ciężkie: samotność, głód, brak wody, a na to rady żadnej. Lilli świergotała, skacząc jedną nóżką, zdawała się wesoła i wolna od troski.

— Śpiewaj—ćwierkała — p i o s n k i śliczne o wiosnie, o słońcu, albo tę smutną o ptaszku zabitym—niech panienska się nacieszy. twojemi piosnkami. Ach, czemuż nie umiem śpiewać! rozweselałabym ją w każdej chwili; ty złośniku, widzisz że jest zmartwiona, sam się nachmurzyłeś i o niej nie myślisz.

— Ja też się martwię.

— Służ tylko tej dobrej, tej poczi-

wej, — wszak nad nami płacze i o nas się troszczy.

Lilli uspokoila mnie trochę, lecz śpiewać nie mogłem; wkrótce też wieczór nadszedł; było cicho, nawet światła nie zapalili — usnąłem. Nazajutrz Kocia zrobiła naradę z chłopcami.

— Masz rację, mówił Antoś — nie wiadomo, czy taka opieka będzie dostateczną, czy stróżowa ich dopilnuje codzień. Może zapomnieć, zachorować, albo jej wypadnie większa robota u lokatorów.

— Straciłam zupełnie chęć do wyjazdu.

— To pięknie! zawołał Józio — najmniejsza przeszkoda zniechęca cię zaraz. Tyle słyszałem o twojej cierpliwości i rozsądku, a tymczasem widzę...

Kocia miała ochotę płakać.

— Siostrzyczko, zawołał chłopczyk — zrobiłem ci przykrość! Daruj, nie chciałem; naprawdę — to mimowolnie, daruj, Kociuniu.

Uściskali się serdecznie na zgodę.

— Tylko nie mów, że nie masz chęci do nas jechać — można przecież pogodzić jedno z drugim.

— Jakto, Józiu?

— Zabierzemy ptaszki do Moście.

— Tak daleko?

— Daleko! śmiał się Antoś—wielka mi rzecz! sześć godzin koleją i trzy końmi—podróż niesłychana.

— Cały dzień jazdy.

— Zimą cały, teraz połowa—przeleci, jak z bicza strzelil.

— Można ptaszki przewieść?

— Kto broni?.. Weźmiemy je z klatką do wagonu, zawiesimy klatkę w oknie;—szanownym państwu Czyżykowskiemu będzie się zdawało, że są w mieszkaniu na Chmielnej.

— A jakże im pić damy? woda się wyleje...

— Czy się wyleje, nie wiem. A zresztą, możemy ich poić i karmić na każdym przystanku;—pomiędzy przystankami odległość nieduża—nic im się nie stanie, jeśli zaczekają.

— Kochany Józiu, to byłoby ślicznie—twoja rada podoba mi się bardzo; trzeba jednak zapytać mamy, czy pozwoli.

— Powiedz mamie, że ja biorę na siebie cały kłopot. Znam konduktorów, wiem, gdzie pociąg przystaje dłużej, a to najważniejsza.

— Józeczku, wiedziałam, żeś dobry, ale tak bardzo chcesz się dla mnie trudzić...

— Co ty myślisz?— W wagonie towarowym pojedę z cielętami, gdy trzeba będzie. Masz cielęta? dawaj, przekonam cię, że ich dopilnuję.

— Nie mam cieląt, odparła z uśmiechem dziewczynka. Mam tylko ptaszki.

— I oddajesz mi ten skarb pod opiekę?

— Oddaje, drogi Józeczku. Mamo, zawołała biegnąc do pani, która ukazała się we drzwiach pokoju stołowego, kochana mamo, pozwól wziąć z sobą ptaszki do Mościc.

— Czy dobrze się zastanowiłaś, Kociu? odparła mama. Kłopot w drodze...

— Józio przyrzeka pamiętać o nich.

— Tak, ciociu, potwierdził chłopczyk—zrobię to z przyjemnością.

— W Mościcach drugi kłopot, jeszcze gorszy, bo ciągly.

— U nas ciociu nikomu przeszkadzać nie będą.

— Ale pewno tam macie całą kopeć psów i kotów?

— Na folwarku jest ich dosyć—we dworze tylko dwa wyżyły i jeden kociak.

Za nich ręczę, że ptaszkom krzywdy nie zrobią.

— Ręczyć za kota! co mówisz, moje dziecko?

— Wszyscy będziemy pilnowali.

— Trudny obowiązek, bardzo trudny — przyjmować go nie radzę.

Spostrzegłszy jednak strapioną minkę Koci, mama dodała wahająco:

— Nie radzę, ale też nie bronię, kiedy sami chcecie. Jeśli córeczka moja ma na tem cierpieć, martwić się i tęsknić, niech czyżyki z nami jadą; tylko — pamiętajcie, że ostrzegałam.

— Nie zapomnimy, upewniał Antos — niech tylko jadą koniecznie.

— Owszem.

Kocia była uszczęśliwiona — Lilli żartowała ze mnie.

— Aha! widzisz — mówiłam, że tak będzie — przeczułam odrazu.

— Domyśliłaś się, że nas zabiorą?.. Oj mądra, mądra.

— Nie wierzysz? jednakże tak było naprawdę.

— Ty wszystko wiesz naprzód!.. Chcesz, bym temu wierzył.

— Jak ci się podoba, mój kochany.

---

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Maciuś.

---

Ile różności widziałem!... Aż kręciło mi się w głowie: tu patrzę i tam patrzę, to w inną stronę mnie coś ciąga; obracam się, rozglądam, wreszcie nic nie wiem, wszystko poplątałem. Lilli otwierała szeroko bystre oczęta i miała później dużo do powiedzenia, ja zaś niewiele. Dziwne, że spostrzegła tyle naraz. Bystrzejsza odemnie, a przytem uważna.

Dzieci rozmawiały o ogromnych gniazdach ludzkich wznoszących się po drodze, o kościołach i placach—takie to wspaniałe!—radbym patrzył dłużej... gdzie tam! uciekło. Jedno wskazali, już coś innego zauważyli: tamto mignęło i to znika—trzebaby gonić...



A gwar, a hałas! tyle ludzi... jedni jada, inni co tchu biegną—okropny zamęt.

Józio klatkę na kolanach trzymał i uśmiechał się do Koci;—dziękowała mu spojrzeniem. Antoś żartował z obojga.

— Nie miała baba kłopotu, mówił, kupiła sobie prosię.

— Nie mam prosiąt.

— Wszystko jedno, masz kłopot i niewygodę.

— Czy ci przeszkadzamy?

— Nie, lecz moglibyście na chwilę zapomnieć o ptakach. Dobrze im tutaj, w wagonie będzie jeszcze lepiej, próżno sobie głowy zaprzątacie.

— Ty o nich nie myśl, odciął się Józio, a nam daj pokój.

— Potrzynam klatkę, rzekła Józefowa—panicz się zmęczył, i ciasno siedzieć.

— Bardzo ciasno.

— Byłoby najlepiej, gdyby zamiast Koci siadł z nami Romek;—panna do starszych, my, we czwórkę razem. Ale Kocia się uparła dozorować czyżyków—i po co? na co? opiekun nie odstąpi ich nikomu, nawet Józefowej.

— Tak; nie odstąpię, bo przyrzekłem. Teraz do sali je zaniosę, a potem, w wagonie dobrze umieszczę: będą spały, jak na Chmielnej.

Prawdę powiedział Józio: miejsce było doskonałe, lecz krzyk jakiś straszny tak przeraził mnie i Jednonózkę, że nie mogliśmy się uspokoić. Józio zakrył uszy rękami, Józefowa krzyknęła, a Kocia rzekła z uśmiechem:

— Oj! oj! ogłuchnę!

— Bogu dzięki, już jedziemy, cieszyła się Józefowa;—poła, łąki, lasy jeno śmigają—człowiekby przysiągł, że zerwały się i lecą... Chryste! aż w głowie huczy... strach, żeby panieneczka nie zasłabła.

— Nie zasłabnę, nianiu, odparła Kocia. Jeżdżę koleją dosyć często i przywykłam.

— Człowiekowi też nie pierwszozna, ale migocze i migocze, aż w oczach lzy stają.

Jechaliśmy coraz prędzej, klatka podskakiwała, my również;—Antoś i Józio zajęli się czytaniem, Kocia mrużyła oczy, gdy Józefowa krzyknęła gwałtownie:

— Bocian! bociek!

Głos jej drżał, ręce uniesione ponad głową trzęsły się, jak z zimna. Opuściła je powoli i twarz zakryła.

Dzieci patrzyły zdziwione — Kocia szarpnęła fartuch starej.

— Nianiu, co to? co to znaczy?

Pomarszczone dłonie Józefowej opadły na kolana; już się nie trzęsły, lecz twarz płonęła ogniem, powieki, jak gdyby obrzękłe, były zaczerwienione.

— Nianiu, nianiu, pytała Kocia—co wam się stało?

— Nic, aniołku drogi.

— Nie, nie!.. poznałam odrazu, że coś złego, coś bardzo złego.

— Tak, panienko złota, ale już dawno... tyle lat... Bociek mi przypomniał i wszystko napowrót widzę...

— Nie płaczcie, prosiła dziewczynka. Głowa rozboli i oczki—wasze oczki takie czerwone... naprawdę, nianiu. Będą bolały, a tam na wsi może lekarstwa nie ma i doktora.

— Siła lat... wyszeptala Józefowa—człowiek zapomnieć nie potrafi, choć niby zapomniał... Moje chudziątko, moje ostatnie....

— Co wy też mówicie, nianiu?

— I dobry był—i mądry... a śliczny, oh!...

— Kto?

— Maciuś, aniolku, mój Maciuś. Dziesięć lat kończył dopiero, a już za bydłem i za końmi... do roboty się rwał, choć nie na jego siły jeszcze...

Umilkła—lzy gradem posypały się po twarzy; Kocia patrzyła przerażona i nie śmiała pytać.

— Dziesiąty rok, zaczęła po chwili Józefowa—takie dziecko... ale myśmy o tem nie pamiętali, bo przyuczył mnie i ojca, że wyрекą nam był we wszystkim... we wszystkim, powtórzyła, trzęsąc się znowu... Oh!...

Przerwała, a potem z oczami już suchymi, głosem ochryplym ciągnęła dalej.

— Żadnego przed Maciusiem do tych lat nie uchowałam... ten dorodny był na podziw, czerwony i zdrowy; tylko mnie, matkę, strach zdejmował, że za- nadto dobry, jak gdyby nie dla świata.. Oh! nie dla świata mizernego! jęknęła z głębi piersi. Tymczasem żył z roku na rok; gdy wieczór przyszedł, śpiewkami nas bawił i skrzypkę bardzo kochał, grał na niej to smutno, to wesoło. Raz

kaszlać zaczął;—nie myśleliśmy, że jest co złego w tem kaszłaniu... każdemu się zdarza, przestaje i nic. Maciuś nie przestał.... Na pastwisku febra go wzięła;—rano wrócił blady, trząsał się, oczy miał szkliste, wielkie... Potem robiły się one coraz większe, twarz czasami była rumiana, to znowu blada i chudła bardzo... chudł też cały—niknął.

— Niknął? powtórzyła ze zdziwieniem Kocia—niknął, nianiusiu?

— Zrobił się taki drobny i leciutki, żem go poniosła do doktora przeszło dwie mile, i za rocznego dzieciaka nie zaciężyl. Ale kiedy doktor mi powiedział, że rady nie ma, z powrotem ledwie go do domu przydźwigałam. To nie on był ciężki, nie Maciuś—tylko mój żal, mój ból siadł mi na sercu, jak kamień.

Umilkła—dzieci nie spuszczały z niej oczu.—Jednonóżka zaświergotała żalostnie, Kocia przytuliła się do starej nianki, wzruszona bardzo. Nawet Antos miał minę poważną.

— Przyniosłam ci go, mówiła dalej Józefowa, na czystej pościeli ułożyłam i zaczęłam wojować z chorobą.

— Oh, nianiu!

— Wojowałam w dzień i w nocy, czem mogłam: kąpielami, to naparzeniem, to smarowaniem—Bóg wie, czem jeszcze.... Nieraz tchu nie czułam, ale mówiłam sobie: może to, może tamto, trzeba próbować. Czasem nadało, czasem nie nadało. ani trochę... Maciuś kaszlał—pod wieczór robił się czerwony, i prędko a bardzo cicho do siebie gadał. Przykrzyła mu się zima, narzekał, że doktor nie daje mu wychodzić;—onby i wyjść nie mógł, tylko chociaż na próg, chociaż w sadku na trawie się wyciągnąć, w ciepłe, żeby go słonko przygrzało.

— Znajomi chłopcy nie odwiedzali Maciusia? zapytał Józio. Razerwałby się przecież trochę i zabawił.

— Przychodzili czasem, odparła, kiwając głową;—co mu z tego!.. ani mógł mówić, pośmiać się, pożartować—głos całkiem stracił. Tylko ja dosłyszeć mogłam—ojciec ledwie go rozumiał i to nie wszystko. Ale chudziatko moje było cierpliwe. Poczekaj, matusiu, mówił—niech nadejdzie wiosna... ciepło mnie przeniknie, zdrów będę odrazu. Od czego kaszel? z zimna—gdy zimna nie ma, nie ma i kaszlu.

— Mądry, rzekła Kocia, ja też w ziemi kaszlałam, a teraz nie.

— Nie przerywaj, rzekł Antoś—cóż dalej? mówcie, mówcie.

— Z alkierza do izby go przeniosłam, żeby mu słonko w oczy zaglądało. Cieszył się, że mu weselej i raźniej, ale wciąż tylko wiosny wyczekiwał. Raz w południe, zawołał ojca do łóżka, głowę starego objął i szeptał mu coś dobrą chwilę. Uśmiechał się przytem, jak za dawnych czasów... Ciekawość mnie paliła, o co tak prosi. Jedzenia?—toć bez molestunku miałby, co zapragnie;—pieniędzy? ostatni grosz dałabym mu ja, matka!.. Spojrzałam na starego, zakreślił się i wyszedł. Maciuś, odpocząwszy, tak do mnie mówił.

— Matusiu złota, prosiłem, żeby ojciec gniazdo bocianie wyrzuchiwał. U Kowalików zeszłego roku było; Jędrucha do wojska nie wzięli, choć każdy mówił, że wezmą, a gospodyni powiadała, że bociek szczęście przyniósł. Nam też, matusiu, byle gniazdo się nadało, bociany szczęście przyniosą, tylko trzeba zrobić gniazdo porządne... Patrzcie, ojciec już na stodołę wchodzi—Piotr koło mu podaje... robią gniazdo! robią!

Cieszył się, w ręce klaskał, twarz mu poczerwieniała, oczy błyszczały jak dwa węgle. Mój przy onem gnieździe długo majstrował—chciał dzieciakowi dogodzić.—Maciuś patrzył i patrzył,—raz wraz mnie wołał i dogadywał.

— Zobaczysz matusia—u Kowalików nie obsiądą, jeno u nas—już ja wiem, na pewno. A jak obsiądą, szczęście nam przyniosą, wielkie szczęście, zobaczysz matusia!

Rażniej mi było, kiedy tak mówił;—zaczęłam się modlić do Boga miłosiernego i do Paniienki Najświętszej, żeby mi ono szczęście w dzieciaku umieścili... ani w dobytku, ani w urodzajach, tylko w tem chudziątku ostatniem!... Co noc w alkierzu padałam jak długa, czolem o ziemię tłułam i prosiłam. Aby modlitwa była skuteczniejsza, pościłam trzy dni z rzędu, łyżki jadła do ust nie biorąc, tylko chleb i wodę.

Tymczasem wiosna nie nadchodziła. Naprzód niby sfolgowało trochę, potem wziął znowu mróz silny, małe szybki lodem przykrył i widok zasłonił.

Cniło się Maciusiowi—posmutniał i wyrzekał coraz bardziej. Dręczyło mnie to wyrzekanie; wszak gdyby wol-



no było, jabym mu słońce do chałupy wniosła... poskapiłabym go światu całemu i sedom i polom, a oddała Maciusiowi. Zaczęłam sypać sól na zmarznięte szyby—lód się rozpuszczał, ale niedługo znowu twardniał i Maciuś nie widział ani śniegów, co leżały na zagonach, ani gniazda, co mu ojciec dla boćka wyrzuchował...

Nakoniec mróz ustąpił,—święty Józef resztę śniegu z nieba wymiółł, w wigilię Panny Najświętszej izba zajaśniała od słońca. Ale Maciuś tego nie widział—nie otwierał oczu i nic się nie odzywał... Leżał blady, czoło miał zimne—ażem się zlekła, i oddech krótki. Postąpiłam przy nim parę pacierzy:—śpi, czy nie śpi? pytałam w duchu, ale słowa nie rzekłam, tylko przykryłam lepiej chudziatko moje drogie i poszłam zagotować kapkę mleka, by miał, gdy pić zechce.

Nie chciał—do wieczora tak przeleżał dysząc, a kiedy lampkę zapalałam, jak gdyby nie swoim głosem krzyknął:  
— Mamo!

Przybiegłam wystraszona, ledwie żywa—pochyliłam się nad Maciusiem—on mi na szyję chude rączyny zarzucił i zaczął płakać. Nie wiedząc, co mu te

ły gorzkie z oczu wycisnęło, ani jednak śmiałam pytać, żeby nie męczyć biedactwa, tylko pocieszałam: „uspokój się, synku, pewno sen miałeś przykry—zapomnij o nim. Nie pożywiłeś się od rana do tej pory, czczy jesteś; zagrzej herbaty albo mleka.“ Uspokajał się powoli i nie dał mi odejść—dopiero kiedy ojca zobaczył, puścił moją rękę. Przyniosłam mleko, wypił mało wiele, potem znowu drzemał, taki zimny, blady...

Nazajutrz ojciec do kościoła poszedł—ja zostałam przy Maciusiu; trochę siedząc koło niego, trochę się krzątając, czekałam na lekarstwo, bo zaraz po nabożeństwie, miał je stary przynieść z apteki. Nie pomagało ono, ale zmniejszało kaszel, więc chociaż ulgę dawało chwilami. Ponieważ przy gospodarce nawet w święto rąk założyć nie można, wybiegałam raz poraz do kur, do prosiąt, to znowu do obory—każde stworzenie musi mieć wygodę... Coś mnie zatrzymało dłużej;—wpadam napowrót zestraszona, bojąca... Maciuś na łóżku siedzi i w okno patrzy. Gdy mnie zobaczył, całym ciałem się wyprężył i znowu takim, nieswoim głosem, krzyknął:

— Bociek!

Twarz, uradowana i uśmiechnięta, z bladej stała się siną, usta też zsiniały, oczy bielmem zachodziły... Ujęłam go wpół, dygocząc, on ciągle w okno pokazywał i, ciszej już, dobył z siebie te słowa:

— Szczęście, matusiu, szczęście!

To były słowa ostatnie.

Umilkła, chłopcy nie odzywali się także, a Kocia zawołała:

— Dlaczego ostatnie, nianiusiu?.. dlaczego więcej mówić nie chciał, kiedy tak się cieszył, że bociany obsiadły gniazdo?

Józefowa zasłoniła oczy fartuchem.

— Powiedźcie, prosiła Kocia — co dalej się stało?

— Maciuś nie żył...

Dziewczynka wybuchnęła głośnym płaczem.

— Maciuś! Maciuś! wołała, zanosząc się od łkań—ten dobry synek umarł!.. ach nianiu, to okropne!

Gwałtowny płacz dziewczynki sprowadził mamę; przybiegła zaniepokojona.

— Co tu się dzieje? Tadziu, Romku, Józiu? Córeczko droga, czy cię co boli? czy sobie jaką krzywdę zrobiłaś?

Kocia płakała rzewnie, a stara

niańka, drżąca jeszcze od wspomnień, próbowała ją pocieszyć:

— Aniolku drogi, jemu tam lepiej— on tam na mnie czeka.

Mama domyśliła się wszystkiego.

— Bóg z nami, rzekła do Józefowej—niech was pocieszy Jego miłosierdzie, ale takich smutnych rzeczy choremu dziecku opowiadać nie można. Wasza niedola obudzi łyzy w każdym, co tu dopiero mówić o mojej serdecznej dziewczusce.

— Paniusiu, tłumaczyła się Józefowa—nie chciałam, Bóg mi świadkiem—nie myślałam... po cóż im, chudziátkom, o łzach i smutkach wiedzieć!... Samo z serca się wydarło, niech pani mi daruje.

— Wcale was nie obwiniam, moi drodzy, ale proszę, pomóżcie teraz ukoić tę biedaczkę.

Ucałowana i upieszczona, Kocia zasnęła na kolanach starej niańki. Od czasu do czasu wstrząsało ją łkanie, spała jednak mocno do końca podróży koleją. Gdy się obudziła, pierwsze jej słowa były:

— Nianiu, już nigdy wam nie dokuczę—nigdy w świecie!

— Aniolku, czy kiedykolwiek zda-

rzyło się coś podobnego? zawołała starszka, tuląc dziewczynkę.

— O, tak—pamiętam... Jeszcze dawniej, kiedy byłam młodszą, parę razy nie dałam się ubrać i, chociaż niania bardzo prosiła, biegałam boso po pokoju. Niech mi nianusia daruje, nigdy niegrzeczną nie będę—we wszystkim posłucham i Maciusiowej mamy nie zmarwię, za nic!

Kobieta miała oczy pełne łez.

— I ja, rzekł Antoś, wyciągając do niej rękę z nieśmiałością—i ja też Józefową przepraszam.

— Chryste!—czyż jestem tak ważną osobą, żeby mnie przepraszali! Za co? za co panicz mnie przeprasza? doprawdy, nie rozumiem.

— Już ja wiem dobrze, tylko wstyd się przyznać, odparł z żywością Antoś, zaczerwieniony po same uszy. Ale niech tam!—powiem i wstyd przeniosę, kiedy zasłużyłem... Józefowo, pocziwa, dobra Józefowo, ja was nazwałem starą nudziarką!

To mówiąc, patrzył w jej oczy takim pokornym spojrzeniem, aż biedaczka się rozplakała.

Paniczu złoty, rzekła rozczulona —  
toć przecie święta prawda jest.

— O matce Maciusia takich rzeczy  
mówić nie wolno! zawołał Antoś. Prze-  
praszam was serdecznie.

Przy tych słowach, uścisnął po-  
marszczoną dłoń kobiety, która płą-  
kała, choć oczy się śmiały i wyrażały  
radość.

Kocia prosiła:

— Nie płaczcie, droga moja nianiu,  
my o was całe życie pamiętać będziemy.

— Tak, dodał Tadzio—chociaż Ma-  
cius umarł, nie braknie wam opieki na  
lata późniejsze.

— Złote, drogie dzieci, powtarzała  
staruszka z rozczuleniem—kocham was,  
jak gdybyście były moje własne!

---

## ROZDZIAŁ XIX.

### W ogrodzie.

---

— Co to?

Lilli jeszcze spała. Zbudziło ją moje pytanie—otworzyła oczy i razem ze mną zaczęła się przyglądać.

Na skraju ogrodu, lub może dalej, czerwienilo się, niby od ognia i jakiś blask złocisty powoli się zapalał.

— Co to, czyżuniu? wołała Jednonóżka. Pierwszy raz widzę i nie wiem co to. Ależ śliczne, śliczne!

Różowa luna bladła, gasła stopniowo, a z pośród złotych promieni strzeliło światło tak mocne, że musieliśmy powieki przymrużyć. Gdy je odchyliłem, patrzę—wszędzie widno...

— Lilli wołam—droga Lilli, toż to słońce!

Słońce! zawtórował ogród—słonecz-

ko! powtarzały rozmaite głosy, cieńsze i grubsze, donośne i słabe, a wszystkie rozradowane.

— Jak pięknie się budzi! wołała, skacząc, Jednonóżka—jak cudownie!.. Tam, w mieście, go nie znają. Ukryte za murami, utopione w głębi kamienic, nie pokazuje nigdy precudnego wschodu... Witaj, słoneczko, witaj,—dajesz światło, dajesz ciepło, bądź pozdrowione!

W ogrodzie hałas się wzmagał i taki świergot, że niemogliśmy rozmawiać. Ileż tam było ptaków!.. Gdzie okiem rzucisz: w krzakach, na drzewach, na sztachetach, nic—tylko ptaki. Szczebiotaly pomiędzy sobą, bynajmniej nie zdziwione, że każdy listek, każda trawka migocze blaskiem różnobarwnym; może nawet nie spostrzegły tego, a to takie śliczne. Lilli patrzyła zachwycona, ja również.

Najgłośniej ze wszystkich świergotaly wróble, rzuciwszy się odrazu do wisien.

— Dobre już? dobre?

— Doskonałe!

— Nie wierzę temu. Wczoraj były kwaśne.

— Ja mam słodką.



— To daj—będzie dla moich dzieci.

— Nie dam. Co mnie obchodzą twoje dzieci?—ja też słodkie wisienki lubię i zjem, bo dobre.

Zaczęła się bitwa—leciały piórka; szczęściem, ktoś wszedł do ogrodu i bitwę przerwano.

— A teraz na pszenicę! zawołał stary, dobrze wypasiony wróbel, lećmy zaraz, szkoda czasu. Potem gorąco będzie, najlepiej rano wycieczki urządzać.

— Na pszenicę! kto z nami?

— Dobreby to było, wtrącił jakiś ptaszek o bardzo ładnych piórkach, ale stoi tam człowiek i nie pozwala się zbliżyć.

— Nie pozwala?

— Co za strachy znowu! Że kraska lada czego się boi, wiadomo przecież; ale my, wróble, mamy inne usposobienie.

— Gdyby tam nawet kto pilnował, nie stoi cały dzień.

— Zeszłego lata stał również—odparła kraska, kiwając główką.

— Tak?.. Wcale się nie boję... straszny on, lecz nieszkodliwy. Zobaczę zdaleka;—jeżeli ten sam, mogę was zapewnić, że nie będzie pszenicy bronił.

— Nie będzie? pytały młode wróble z ciekawością.

— Pocziwe człeczysko!—Każą mu stać, więc niby swoje robi, z miejsca się nie rusza, ale też tylko tyle. Nikogo nie ukrzywdził w przeszłym roku; znamy się z nim dobrze.

— Trzeba go zobaczyć! wołały mniejsze ptaszęta.

Zacząło się naradzanie, gromadka wróbli obsiadła drzewo i głośnym świergotem napelniła ogród.

— Lećmy, lećmy!

— Ja zostanę, ćwierknęła poważna jakaś wróblica i moich małych nie puszcza. Bo i po co? mamy tu ogród, jedzenia wbród—wszystko dla nas porządnie obsiane i zasadzone.

— Słusznie mówicie, matusiu, zapiszczała nieznana ptaszyna — czegoż nam brak tutaj?

— Bardzo słusznie, potwierdziła druga, kręcąc ogonkiem.

— A to co znowu? huknął wróbel— pliszki i zięby do naszych spraw się wtrącają? Dziękuję za taką przysługę.

Zięba wylękniona uciekła na drzewo, a pliszka kręciła ogonkiem przez chwilę, wreszcie odparła:

— Wiem, że wróble są bardzo mądre, najmądrzszemu przyda się jednak czasem, życzliwej rady posłuchać.

— Mądre! mądre! pochwycił wróbel. Co ty wiesz o tem, moja kochana! ani się znasz, ani zrozumieć nie potrafisz. Trzeba ci wiedzieć, że jesteśmy najmądrzejsze i najpożyteczniejsze ze wszystkich ptaków.

— Ho! ho! najpożyteczniejsze!

— Alboż my tego samego pożytku nie przynosimy?

— Patrzcie!

— Ciekawa rzecz, co lepszego robią, niż my wszyscy?

— Sikora śmie pytać!

— Śmiej, bo mnie twoje przechwałki gniewają.

— Mało sobie z tego robię.

— Mało czy wiele, zaświergotała pliszka, powiedz nam jednak, z kąd wnośisz, że jesteś najpożyteczniejszy pomiędzy ptakami.

— Wiem od dziadunia, który jest bardzo stary i mądry.

— Moja babcia jeszcze starsza, a także mądra.

— Na dowód, opowiem wam, co mówił dziaduś—słuchajcie.

— Owszem, słuchamy, ale pszenicy szkoda.

— Nie ucieknie—no, słuchamy. Cicho tam!

Ptaki się uspokoiły;—wróbel spojrział dokoła i tak mówić zaczął:

— Opowiadał mi dziadzio następujące zdarzenie: Bardzo już dawno, znalazł się pewien niemądry człowiek, który sobie wyobrażał, że wszystko, co zasiał na polach i w ogrodzie, do niego samego należy.

— Toż to nasze!

— Nasze, nie nasze—lecz podzieliwszy, i jemu się dostanie i ptaki mają. Na całym świecie to wiadomo, był wszakże jeden, który ani słuchać nie chciał, a szczególnie wziął się do wróbli. Próżniaki, mówił—kradną mi proso i pszenicę, mak wypijają—w ogrodzie psują maliny, wiśnie, truskawki, gdy tych braknie, nasiona. Pracowałem wiosną, lato mi zeszło w ciężkim trudzie, podczas zimy także ogrodu strzegłem, i co mam? powiedzcie sami. Wszystko podziobane, jeśli nie zjedzone do szczętu, ptaki rządzą, jak u siebie. Długo cierpliwy byłem, lecz dość już tego—

wezmę się ostro i koniec z próżniakami zrobię.

— Bójcie się Boga! zawołała sikora piskliwym głosem—czego on chciał od ptaków? Bo chociaż niby wróble prześladował, i innych pewno nie oszczędzał.

— Przecież pożywić się musi każde stworzenie, świergotała makolągwa.

— Alboż my dużo potrzebujemy?... jedno z drugim nie prawie, jak dzieci Kocham!

— Dajcie mi dokończyć, krzyknął wróbel—coraz kto przerywa.

— Tak—niech opowie.

— Kończ, wróblusiu, już słuchamy.

— Cicho, nie przeszkadzać! nakażywała pliszka.

— Zabrał się skąpy gospodarz do ptaków—oj, zabrał; ile ich tam wyginęło, sam nie wiem—biedaki padały jak muchy. Chwytał w sidła, strzelał, najprzeróżniejsze zasadzki urządzał, wszelkimi sposobami tępił, szczególnie wróble, bo do nich osobliwszą miał nienawiść.

Spostrzegłszy, co się dzieje, wróble zrobiły naradę: jeden mówił to, drugi owo—nic nie wymyśliły. Dopiero jakaś niemłoda wróblica wsunęła się w sam

środek zgromadzenia i zaświergotała ze złością.

— Nie wiecie, co robić? a gdzie się podział wasz rozum? gdzie spryt znany i przez ludzi rozślawiony? Nie wróblami wam być, dudki, mysiekróle, marne pośmieciuchy!

— Dość!.. no, no, co znowu?.. A to pięknie! wołały drobne ptaszki z niesłychanem zaciętrzewieniem. Jeżeli nam będziesz tak urągał, wolimy nie słuchać.

— Dudek nie gorszy od wróbla.

— Pośmieciuszka też nie gorsza!

— Ani mysiekrólik — patrzcie!

— Zna się na rzeczy — nie zaczepił nas wcale, świergotały pomiędzy sobą pliszka i makolągwa.

— Zna się, zna.

— Mądry on!

— Cicho! zawołał wróbel i opowiadał dalej, nie zważając na dąsy jednych, ani uciechę drugich. Gdy stara do gadania się wzięła, nie skończyła, aż ptaki przyrzekły, że wszystko co ona powie, zostanie spełnione. Nazajutrz śladu wróbla nie było w okolicy.

— Gdzież się podziały? co za kłamstwa bajesz!

— Czy nie można całą gromadą wynieść się i osiaść gdziekolwiek dalej? Dla nas, nawykłych do wszystkiego, co pora roku przyniesie, do zmian i niewygód, do chłodu, wilgoci, a nawet i głodu, nie ma w tem nic nadzwyczajnego. Ha! trudna rada, rzekły wróble — dziś tu, jutro tam! i poszły w świat. Ujrzawszy, że w ogrodzie pusto, gdyż za wróblami wyniosły się wszystkie ptaki, straszone ciąglem strzelaniem, gospodarz z radości ręce zacierał. Głowę miał spokojną, przestał drżeć o całość owoców i nasion, pszenica, wolna od szkodników, obiecywała zbiór bogaty, proso również.

— Aha! mówił do sąsiadów — patrzcie, com zrobił! Dotąd wojowałem, aż postawiłem na swoim. Niech, kto chce, daje ptakom część plonu, ja wolę mieć dla siebie wszystko, com w pocie czoła z ziemi wydobył.

— I my też radziłyśmy zebrać jak najwięcej, odpowiadali gospodarze, lecz kiedy Pan Bóg tym biedaczyskom żyć pozwolił, czemże się karmić będą?

— Nic mnie nie obchodzi — byle mojego nie ruszały; niech jak chcą dają sobie radę.

Kiwali głowami, a skąpiec z zado-

woleniem się uśmiechał. Mógł się cieszyć. Urodzaje miał przepyszne: zarówno ogród jak i pola dopisały mu w tym roku;—jeszcze parę takich, a będzie bogaty. Rozszerzy posiadłość; mając z niej większy dochód, znów odłoży trochę grosza, znówu dokupi—i tak dalej i tak dalej...

Widział się już w myśli posiadaczem niezmiernych łąnów, majątek rósł mu jak na drożdżach, a wszystko od tego czasu, gdy się zabezpieczył od strat, na pozór małych, które jednak znaczą wiele.

Zazdrościli mu sąsiedzi; niejeden postanowił go naśladować, on tymczasem w pychę się wbijał i o rozumie swoim coraz więcej opowiadał.

Znów nadeszła wiosna; w ogrodzie cicho—żaden ptak się nie odezwie—nie ma kłopotu... Lecz drzewa stoją smutne, liści na nich mało, gałązki, jak oblepione chrabąszczami... Gospodarz za głowę się chwycił, mruknął coś półgłosem—nie w smak mu poszło. Ale trudna rada; zamiast czas tracić, trzeba natychmiast myśleć o obronie. Miał z chrabąszczami pracę niesłychaną: strząsał je z drzewa, gdy opadły, zbierał, w wor-



ki gromadził, parzył, a potem dawał do jedzenia kaczkom i kurom.

Lecz cała praca, w której go dotychczas wróble wyręczały, była bezskuteczna; dziś skończył i, zdaje się, wykonał jak najlepiej—jutro znowu chrabąszczów pełno; nie dały się wytepić w żaden sposób. Człowiek do takich trudów stworzonym nie jest;—gdyby w powietrzu latać umiał, dałby radę, lecz przy swojej niezgrabności, niech o tem nie myśli wcale.

Gdy gospodarz do chrabąszczów się zabrał, liszki i gąsiennice nie próżnowały; moc owadów rozwinęła się w ogrodzie, wszystko to cięło liście drzew, zawiązki owoców, niszczyło warzywa. Nasiona różnych chwastów puściły zielisko, jakiego dotąd nikt nie widział, gdyż ptaki we właściwym czasie wybierały je z ziemi.

— Dóbrze tak skapemu! a co? dobrze!

— Pięknie na tem wyszedł, dokończył wróbel. Pożałował chleba ptakom, swoim robotnikom i sam go stracił, na polach bowiem również zbiory mu przepadły.

— Cóż dalej, wróbluniu? zaświergo-

tała pliszka. Bardzom ciekawa, mój wróblunieczku drogi, co dalej się stało. Zapewne wiesz i resztę.

— Wiem, wiem.

— Mów, kochanie.

— Wszyscy drwili ze skąpego, ci zaś, którzy przedtem mieli ochotę naśladować, szydzili najgłośniej. Widząc, że zginie, gdy mu ptaki nie pomogą, przynecał je na różny sposób, aż zwabiona ziarnem, osiedliła się gromadka i rozmnożyła.

— No, patrzcie! Co za ogromny pożytek ludzie z nas mają! Ani myślałem nawet.

— Ja wiedziałam.

— Ja również.

— Tak, żartował wróbel — sikory i zięby wszystko wiedzą.

— Kochany braciszku, zaświergotał szczygiel — przyznaj, proszę, że wcale niesłusznie sądzisz się od nas pożyteczniejszym. Wszak nawet z tego opowiadania jasno się wykazuje, że cały nasz ród poczciwy jest i przydatny, bo nie ma w nim próżniaków ani darmozjadów. Ale wszyscyśmy równi — i ty chyba sam rozumiesz.

— Tak, świergotały ptaki—nie tylko wróble oczyszczają ogrody i pola.

— Robią to wszystkie luszczeniaki, ile ich jest w różnych stronach świata.

— Jednak my, wróble, najwięcej!

— Kłamstwo, kłamstwo. Najgłośniej hałasujecie, ale pracujemy wszyscy.

— A czyżki? zadzwoniła donośnie moja towarzyszka—a czyżki?...

Wszystkie oczy zwróciły się na nas, zdziwione i ciekawości pełne; kilka ptaków podleciało bliżej, pliszka przysiadła na krzaku jaśminu, tuż pod oknem.

Oglądano skwapliwie mnie i Lilli, przypatrywano się w milczeniu, jak gdyby nadzwyczajnym, nieznanym istotom.

Pliszka kiwnęła ogonkiem i zaświergotała pierwsza.

— To czyżki!

— Czyżki?.. prawda, tak. Dziwne, że odrazu nikt tego nie spostrzegł.

— Witajcie, braciszku! zaśpiewała swoim czystym, fletowym głosem makolągwa—chodźcie do nas...

Biedaki, dodała po chwili—uwięziono ich—ujęto w sidła...

— Mylisz się! zawołała Lilli, jesteśmy we własnym mieszkaniu.

— W gnieździe?.. O, bardzo proszę! żaden ptak takich gniazd nie lepi. To musi być coś innego.

— Czekajcie, ja was uwolnię, świergotał szczygiel, szarpiąc dziobem pręty klatki. Twarde i ostre—bardzo twarde—hej! pomóżcie, bracia! Przecież tu idzie o naszych blizkich krewnych;—znaleźli się w nieszczęściu, trzeba ich ratować.

Na wezwanie szczygła przyleciały wróble, pliszka nie dała innym się wyprzedzić; drobny jej dziobek stuknął ostro w szybę łazienki—tak ostro i mocno, iż myślałem, że szybę przebiję.

— Daj pokój, ćwierkała Lilli—nam tu dobrze, bezpiecznie, a zimą ciepło.

— Mamy codzień świeże ziarno i wodę, chwalilem się skacząc po klatce. Czegoż trzeba więcej?

— Czego trzeba? powtórzyły ze zdumieniem ptaki.

— Chodź, a zobaczysz, jaki mamy przepiękny las, jaką wspaniałą rzekę! Ty jesz, co ci dadzą, my w najrozmaitszych owocach przebieramy—ty w odrobinie wody się pluszczesz, potem ją pijesz, gdy tu, blizutko, snuje się niezmierzona fala, tak czysta, że odbije

w sobie każdy obłoczek, każdą chmurkę—tak orzeźwiająca, że wlewa siły nowe.

— Czy dawno was zamknięto? pytał wróbel.

— Urodziliśmy się w klatce.

— Nieboraki! westchnął kos—nawet nie znają świata, nie wiedzą, jaki jest piękny i jak wesołym jest życie ptaków.

— Ależ nam wesoło tutaj! odparła Lilli.

— Wesoło i dobrze, potwierdziłem.

— Nie, świergotał wróbel—to nie prawda... Co tobie? dodał, przyglądając się Lilli. Hm... teraz wiem, dlaczego lubisz w zamknięciu siedzieć—ale on...—tu zerknął na mnie—on pewno wolałby inaczej.

— Nie, nie!

Lilli patrzyła na mnie, to znowu na wróbla i posmutniała. Dopiero gdy zacząłem śpiewać, rozweseliła się trochę.

Urażone naszą obojętnością, ptaki odleciały; najpierwszy zniknął wróbel, później sikora, zięba, makolągwa;—tylko pliszka, mrugając oczami, skakała po drzewach, i spoglądała w stronę klatki. Nie odzywała się jednak, aż wreszcie

Lilli ją zaczepiła i długo świergotały razem, w przyjacielski sposób.

Pliszka opowiadała swoje przygody, Lilli, szczebiotka, nie zostawała jej dłużną—ledwie cośkolwiek dały mi wtrącić czasem. Przyjmowaliśmy pliszkę ziarnkami siemienia—zjadła trochę; lecz spróbowałszy konfitur, któremi Antos częstować nas lubił, oświadczyła, że są szkodliwe, niezdrowe dla ptaków, a przytem brudzą dziobek, zalepiają, co również sprawia kłopot.

Miły gość nas opuścił, gdy Józefowa przyszła zamknąć okno, gdyż zrywała się burza, czegośmy wcale nie spostrzegli.

---

## ROZDZIAŁ XX.

S a m.

---

Ruch niezwykły panował we dworze; obchodzono imieniny pani, a zarazem rocznicę ślubu obojga państwa. Nie wiem, co to znaczy, nasłuchałem się jednak tyle o przygotowaniach do przyjęcia sąsiadów, a jeszcze więcej do niespodzianek, z jakimi dzieci miały wystąpić, że nie dziwiło mnie ani trochę, gdy Antos co chwila wołał:

— Ach, Boże, czemu to dziś nie czwartek? Oby nadszedł jak najprędzej!

— Oby nadszedł! świergotała Jednóżka i ja powtarzałem za nią.

— Niedobry Antosiu, gniewała się Kocia—ledwie połowę roli umiem, ty sobie życzysz, żeby czas leciał, jak na skrzydłach. Dzięki Bogu, dopiero sobota.

— Wiem, wiem, dopiero...

— Tyle mamy do zrobienia! Stolarz wykończy swoje na poniedziałek; mamusia mówiła wczoraj, że musimy szczerze popracować, by przedstawienie dobrze wyszło.

— Ciocia wymaga od nas wielkich rzeczy, mruknął Antoś.

— Ale uczyć umie! zawołała z żywością Hela, jedna z panienek, które przyjeżdżały teraz codziennie do Moście w godzinach popołudniowych.

— No, tak — to prawda.

— Więc słuchajmy wszystkiego, co nam radzi i do jej uwag ściśle się stosujmy.

— Unikniemy wstydu, dorzuciła Kazia — bo wziąć się do czego dobrowolnie i licho wykonać, to wstyd niesłychany.

— Ho! ho! śmiał się Antoś — zaraz tam wstyd! może hańba?.. Kiedy przesadzać, to przesadzać! nie żałujmy sobie.

— Hańba, masz rację. Każdy powinien naprzód się zastanowić, lecz gdy powie: zrobię — zrobić jak najlepiej.

— Brawo, Hela! zawołał Tadzio — ślicznie powiedziałaś.



— Nic nadzwyczajnego, moi drodzy — to takie jasne i proste...

— Ale bardzo trudne, skarżył się Antoś.

— W tym wypadku nie trudne bynajmniej, pocieszała Kazia. Co innego, gdybyśmy musieli sami sobie radzić, lecz wasza ciocia ułatwia nam każdy drobiazg, tłumaczy, jak małym dzieciom — niemal za rękę wiezie.

— Tylko trzeba się pilnować i uważać.

— Tylko tyle! mała rzecz, doprawdy.

Z temi słowami Antoś wybiegł; gdy za chwilę wrócił, panienki krzyknęły ze zdziwienia. W białym płaszczu podróżnym, kapeluszu na głowie, z wąsami, które sobie przyprawił, czy też namalował, Antoś miał wygląd człowieka dorosłego i tak ojca przypominał, że Kocia zawołała:

— Wujaszek! zupełny wujaszek!

Hela, ubrana w długą suknię, przeczesowała włosy, lecz nie zmieniło to jej wiele; gdy z minką uroczystą szła przez pokój, wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Nie śmiejcie się, rzekła — postaram się zagrać dobrze, ale mam twarz

tak dziwną, że nie z niej nie można zrobić.

Ledwie nie rozplakała się, biedaczka, co gniewało Kazię.

— Byłoby też o czem myśleć! zawołała, machnąwszy ręką z lekceważeniem.

— Wiecie, co wam powiem? wtrącił Antoś — zrobmy próbę porządną, ze wszystkimi dodatkami.

— Zrobmy, i owszem.

— Tylko cioci nie proście, moi drodzy — powtórzmy bez niej, aby się przekonać, czy pamiętamy, jak sceny po sobie następują. Niech nikt nie podpowiada — nikt!

Krzętał się po pokoju, przestawiał krzesła; Tadzio, Romek i Józio pomagali mu gorliwie, panienki również. Wnie-siono kilka roślin w dużych wazonach — istne drzewa — Józio rozłożył wielki dywan.

— Szkoda tylko, że nasz trawnik ma mało podobieństwa do trawnika, westchnął, klękając na ziemi, by go dobrze rozciągnąć. Czy równo, Kaziu? — może podciągnąć do pieca?

— Trawniki przy piecu! żartował Antoś — takie sąsiedztwo nie zdarzyło się chyba nigdy, jak świat światem!

Powinszujemy sobie, że wymyśliliśmy nowość.

— Co tam za nowość, odparła Kocia—i my mamy taki dywan.

— Może—lecz jest to dywan, nie zaś trawnik.

— Gdyby nie ciągle deszcze, zagrałibyśmy na dworze i nie byłoby potrzeba sztucznej zieleni. Szkoda, że ciocia zrobiła taki wybór, przecież było tyle różnych komedijek.

— Co mówisz! zawołał Józio—Kto mógł przewidzieć, że pogoda nie dopisze? Słuchajcie, co mi w tej chwili przyszło na myśl—dodał z żywością;—mamy krzaki, wspaniały gazon, brakuje ptaków. Gdyby Kocia pozwoliła wypuścić swoje czyżunie, ożywiłoby to scenę.

— Jak najchętniej!.. niech polatają.

Gdy otworzyła klatkę, zaczęłam śpiewać zaraz i siadłam na krzaku, a Lilli na łące.

— Ślicznie, doskonale! chwaliła Kazia—cóż to za mądre ptaki!

— Nasz kanarek śpiewa tylko w klatce, dorzuciła Hela.

— Czyżyk jest od kanarka mądrzejszy, mówiła z powagą Kocia. Opo-

wiem wam kiedy o moich drogich ptaszętach.

— Cicho! pst.. proszę nie przeszkadzać.

— Zaczynają! zaczynają!

Naprzód Antoś, potem Hela weszli na łąkę i rozmawiali o jakimś smutnym wypadku, który ich przed laty spotkał tutaj w lesie. Hela obcierała oczy, Antoś ją pocieszał, lecz sam też się krzywił, niby zmartwiony ciężko. Później ukazała się biednie ubrana, bosa dziewczynka, Kocia, z dzbankiem poziomek. Hela na jej widok rozplakała się głośno—Antoś zrobił srogą minę, kupił poziomki, a dziewczynce kazał odejść. Następnie wyszli oboje, niby do zajazdu, który był namalowany w głębi, tymczasem zaś wbiegło kilkoro ludzi czarnych, obdartych—zdaje mi się, że pomiędzy nimi poznałem Romka i Józia. Oj, hałasowali też, hałasowali!.. Naprzód siedli w krzakach, i, rozwiązawszy tobołki, zabrali się do jedzenia tak chciwie, jak gdyby głód im dokuczył; potem zjadłszy, przy jakiejś dziwnej muzyce skakali i śpiewali. Bosa dziewczynka, Kocia, znajdowała się również w tem towarzystwie, nie tańczyła jednak, gdyż kazali

5845



Uwijemy gniazdo.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA

jej pilnować kotła, w którym niby coś się gotowało.

Po tem wszystkiem, przyszli Antos i Hela;—białość cyganki, Koci zadziwia ich bardzo—wypytuja—i cóż się wykrywa?.. to własna ich córeczka, porwana małym dzieckiem z rąk niańki, śpiącej w lesie. Cygani uciekają—mama—Hela mdleje z radości, Kocia ją całuje.

Nie mogłem zrozumieć, po co oni takie rzeczy wypowiadali, w których nie było cienia prawdy; za pierwszym razem płątało mi się to wszystko, dopiero po kilku próbach pojąłem, o co idzie. Bawili się w ten sposób, a starsi znówu mieli się zabawiać, patrząc na nich.

Dzień gorąco oczekiwany nadszedł wreszcie.

Dwór w Mościcach zaroił się od gości, w pokojach gwaro, w ogrodzie wesołe krzyki i śmiechy, od czasu do czasu przenoszące się do mieszkania, deszcz bowiem, ledwie ustał, padał znówu.

Panienki prawie wszystkie w białych sukniach, nawet te, które później jako cyganki występować miały, chłopcy w mundurkach szkolnych—twarze rozjaśnione, oczy błyszczące radością i ucie-

chę. Nawet służba biegła po pokojach uśmiechnięta, chociaż czekało ją dużo pracy i narobiła się przedtem dosyć.

Dzieci gwarzą pomiędzy sobą, sprzeczącą się, godzą, do tańca proszą — muzyka rozbrzmiewa już w sali; — potem kolejno wracają na odpoczynek, znowu wybiegają — i tak ciągle, koło nas, jedni to drudzy się kręcą.

W czasie obiadu wypaliliśmy się porządnie; cicho było, jak makiem zasiał, gdyż pokój stołowy zajmował przeciwną stronę domu, a Jednonóżka rzekła:

— Mój czyżuniu, ja myślę, że przedstawienie późno się zacznie, to też kiedy nas zaprosili, powinniśmy dać dowód, że rozumiemy, o co idzie. Prześpijmy się tymczasem, aby wystąpić z ostrą miną, gdy będzie pora.

— Dobrze, odparłem — słusznie radzisz i, co tchu, wsunąłem głowę pod skrzydelko.

\* \* \*

Spłoszyły mnie oklaski.

Uciekłem — Lilli została wśród cyganów, którzy tańczyli stokroć ładniej niż na próbach i zupełnie inaczej byli ubrani. Przypatrywałem się temu wszystkiemu zdaleka, — bardzo mnie bawilo.



Gdy mama—Hela odnajduje córkę, tyle okrzyków rozległo się na sali, ile było osób;—niektóre panie aż z miejsca powstały, jedna płakała na głos.

Mocno zdumiony, zapytywałem sam siebie, czy oni myślą, że to prawda, a jeżeli wiedzą, że tak nie jest, dlaczego zbytnio się przejmują?

Lecz gdy Hela, po ucałowaniu Koci, krzyknęła: nieszczęście! nieszczęście! a zasłonę przed chwilą już spuszczone—strach mnie ogarnął.

Wszyscy otoczyli panienkę, cisnąc się, pytając;—Kocia krzyknęła przeraźliwie:

— Jednonóżka zabita! Jednonóżka zgnieciona na śmierć!

Na dywanie, pod krzakiem, leżały krwawiące szczątki mojej Lilli....

---

## ROZDZIAŁ XXI.

### Uwijemy gniazdo!

---

Nie wiem jak się zakończył ten dzień straszny. Pamiętam, że do późnej nocy siedziałem na oknie, drżąc; Kocia płakała, mama oraz inne panie tulily ją i zabawiały.

— O, moja Lilli, moja droga, kochana! jęczałem bezustanku.

— Moje ptaszętko złote, moje najdroższe! zawodziła Kocia. Nie pocieszaj mnie, mamusiu, nie mów—bo ja nigdy jej nie zapomnę, nigdy w życiu nie przestanę płakać! Kiedy bylam chora, to maleństwo mnie rozweselało... moja złota Jednonóżka! zabili ją, zabili!

Przez dni następne dziewczynka całe godziny spędzała przy klatce, poplakując; Józefowa nie opuszczała jej

na chwilę i bawiła opowiadaniem bajek, które mnie także rozrywały w ciężkim smutku.

Dopóki Kocia i stara niańka były blisko, nie czułem się tak bardzo nie-szczęśliwym; gdy odeszły, myślałem, że zginę. Chłopcy przynosili mi owoce—nie brała mnie nawet ochota skosztować;—zięby, wilgi i makolągwy napelniały ogród ślicznym swoim śpiewem—nie odpowiadałem im wcale. Na pliszkę, która przyleciała mnie odwiedzić, fuknąłem szorstko:

— Czego chcesz tutaj?

Uciekła, rzuciwszy dokoła wzrokiem przestraszonym.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, gdy raz w południe przyszedł Antos i rzekł do Koci, bawiącej się ze mną:

— Jeżeli chcesz, dziś jeszcze mogę ci dać towarzyszkę dla twego czyżyka.

— Ach, Antosiu, żadna czyżyczka nie zastąpi mi tamtej! odparła Kocia płacząc.

— Wiem, ale biedny ptak się nudzi, niema z kim poświergotać, nawet jeść nie chce—patrz, jak wygląda... Zmarnieje, potem sobie wyrzucić będziesz, że mnie nie usłuchałaś.

Kocia zaczęła prędko mrugać oczkami, usta jej drgały—wreszcie zawołała:

— Cóż ja poradzę? co poradzę, drogi Antosiu?

— Nie łatwiejszego. Kazałem złapać młodą czyżyczkę, wpuścimy ją do klatki;—jeśli się zgodzać będą, twój biedak zaśpiewa niedługo jeszcze piękniej niż dotychczas. Byłabyś także smutna, gdyby Tadzio i Romek odjechali, choć masz ojca i mamę, jesteś przy nich. Nie namyślaj się, Kociu, odpowiadaj żywo—ptaszka przyniosę.

Po licach Koci lzy płynęły gradem.

— Niech już będzie, odparła—niech już będzie, kiedy tak mówisz,—i wybiegła, chwytając się za głowę.

\* \* \*

To dzikie stworzenie miałoby mi zastąpić Jednonózkę?..

Nigdy! nigdy!

Wszedłszy do klatki, nastroszyła się zaraz i przypadła prosto do mojej czupryny.

— Co to jest? zawołałem.

— Masz! masz! piszczała — przez ciebie tu mi siedzieć każą, dla ciebie

mnie schwyтали i uwieźili. Byłam szczęśliwa, wolna, co zrobili ze mną?.. Nie wytrzymam, nie wytrzymam—za nic!

Krzyżąc, biła mnie po głowie i wyrywała pióra.

— Dajże mi pokój!

— Nie dam!—będę biła, oskubię i wojować nie przestanę, aż mnie wypuszczą. Masz! trzeba ci więcej? masz!

Porwałem się również. Na szczęście byłem dość mocny — poleciały piórka. Zwyciężona, ukryła się w kącie klatki, otwierając dziób szeroko, gdy przystąpiłem do ziarna lub naczynia z wodą.

— Sama jeść nie będę i tobie nie dam! krzyżała chrapliwym głosem — uwolnij mnie, albo zginiesz!

— Cóż zrobię?

— Co? Pomóż mi, pracuj ze mną... druty nie grube.

Wybrała jeden, cieńszy od innych i zaczęła go skubać z taką zawziętością, iż zdawało się, że drobniał. Kawalki farby, którą był powleczony, zaścielały klatkę. Całe popołudnie zeszło czyżycy nad tą robotą, a gdy się przekonała, że drut nie ustępuje, gniew jej był bez granic<sup>1</sup>.

— Nie wytrzymam! darła się na cały głos—nie wytrzymam tutaj!

— Posił się, tłomaczyłem; oto owoce, siemię, kanar.

— Za nic!.. Ale i tobie jeść nie dam, nie pozwolę tknąć niczego, dopóki tu będę!

Przez dzień następny ledwie ukradkiem, od czasu do czasu, ziarnko pochwycałem;—tylko tyle, by nie paść z głodu. Czy moja towarzyska jadła cokolwiek—nie sędzę. Chyba wówczas, kiedy ja spałem, lecz parę razy umyślnie otworzyłem oczy, by sprawdzić, i nie dostrzegłem tego.

Na trzeci dzień, do klatki zbliżyła się Kocia. Miałem zamiar ją przywitać, ale dzika czyżyca wpadła na mnie z gniewem:

— Jeszcze im dziękować będziesz, że cię tu zamknęli! Masz! masz!

Bila mnie, krzyczała, to znowu bila.

— Ratujcie! zawołała moja dobra pani—Józiu, Antosiu, Tadziu, weźcie tę szaloną!

Antoś nadbiegł i wyjął czyżycę z klatki.

— Co z nią zrobić? pytał.

— Puścić na ogród, rzekła Kocia.

— A czyżus?

Dziewczynka spojrzała na mnie wzrokiem błyszczącym łzami.

— Czyżus?.. będzie mu smutno, bardzo smutno...

Oczy dziewczynki zajaśniały nagle— wesoly promyk z nich strzelił.

— Już wiem, rzekła rozpogodzona, tak będzie najlepiej... Wypuścimy i czyżyka.

Leciutko dotknęła ustami moich skrzydeł—dotknęła jeszcze raz...

Byłem wolny!..

Czyżyca wołała na mnie z pobliskiego drzewa:

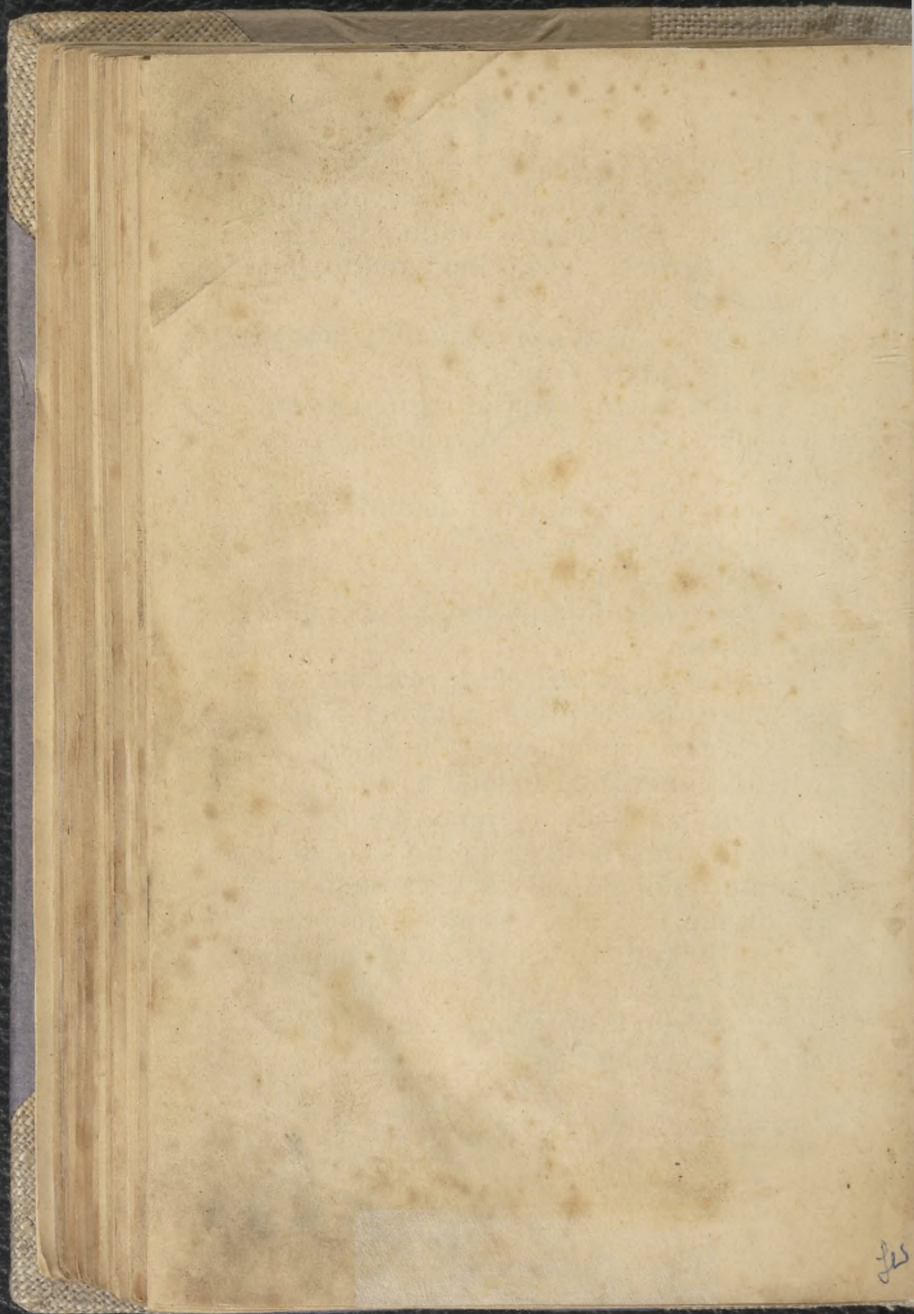
— Chodź, chodź! lećmy razem!.. Świat jest piękny, życie płynie ptakom w pieśniach, wesole, swobodne. Chodź, chodź!.. Uwiemy gniazdo! Pelen nieufności, chciałem uciekać w inną stronę, lecz gdy spojrzałem na czyżyce, myśl o ucieczce mnie odbiegła. Była taka odmieniona, jak nie ta sama... i miła—i łagodna...

— Uwijemy! ćwierknałem radośnie. Zegnam was, dobre dzieci, śpieszę do nowego życia, które wam kiedyś, w przyszłości, opowiem!..

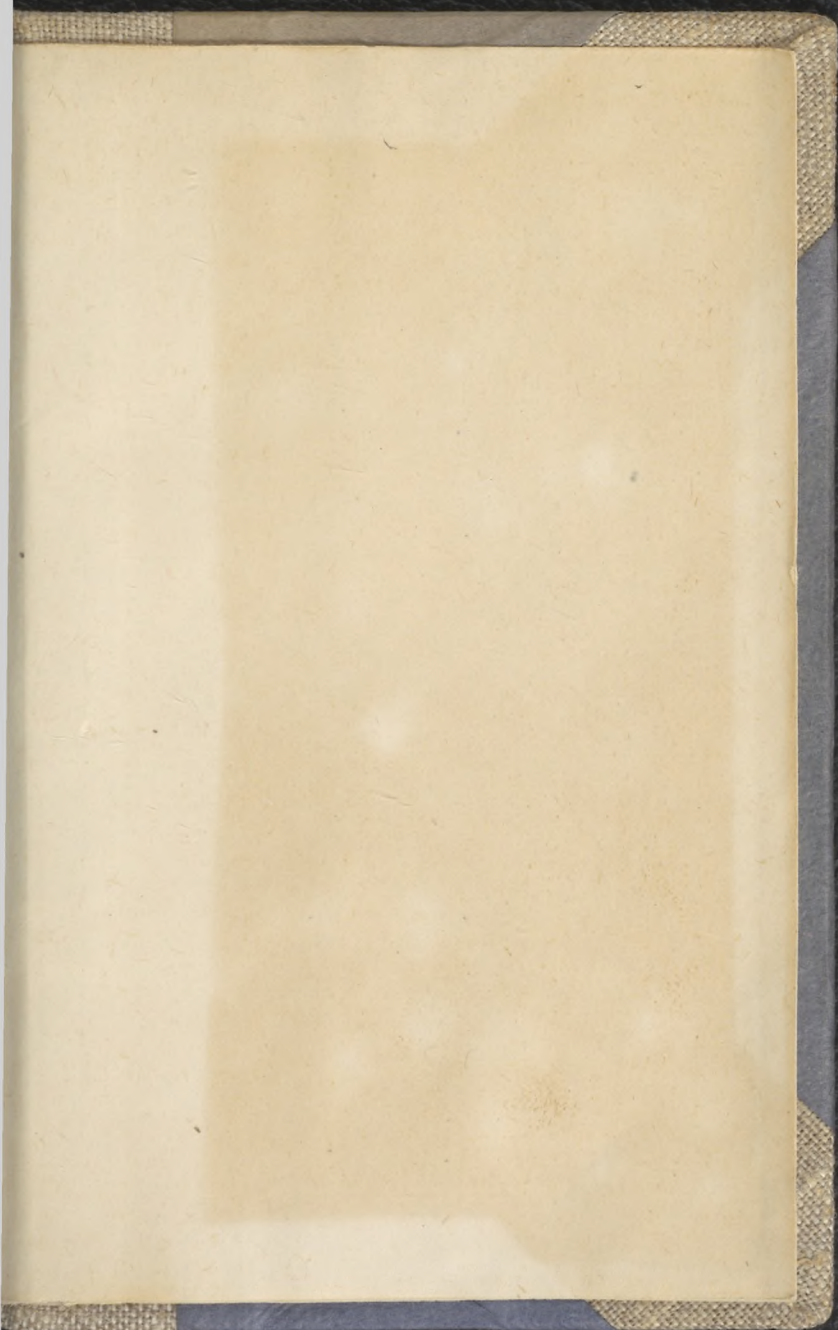
Biblioteka Miejska  
№ 1607  
2. Jusiakow

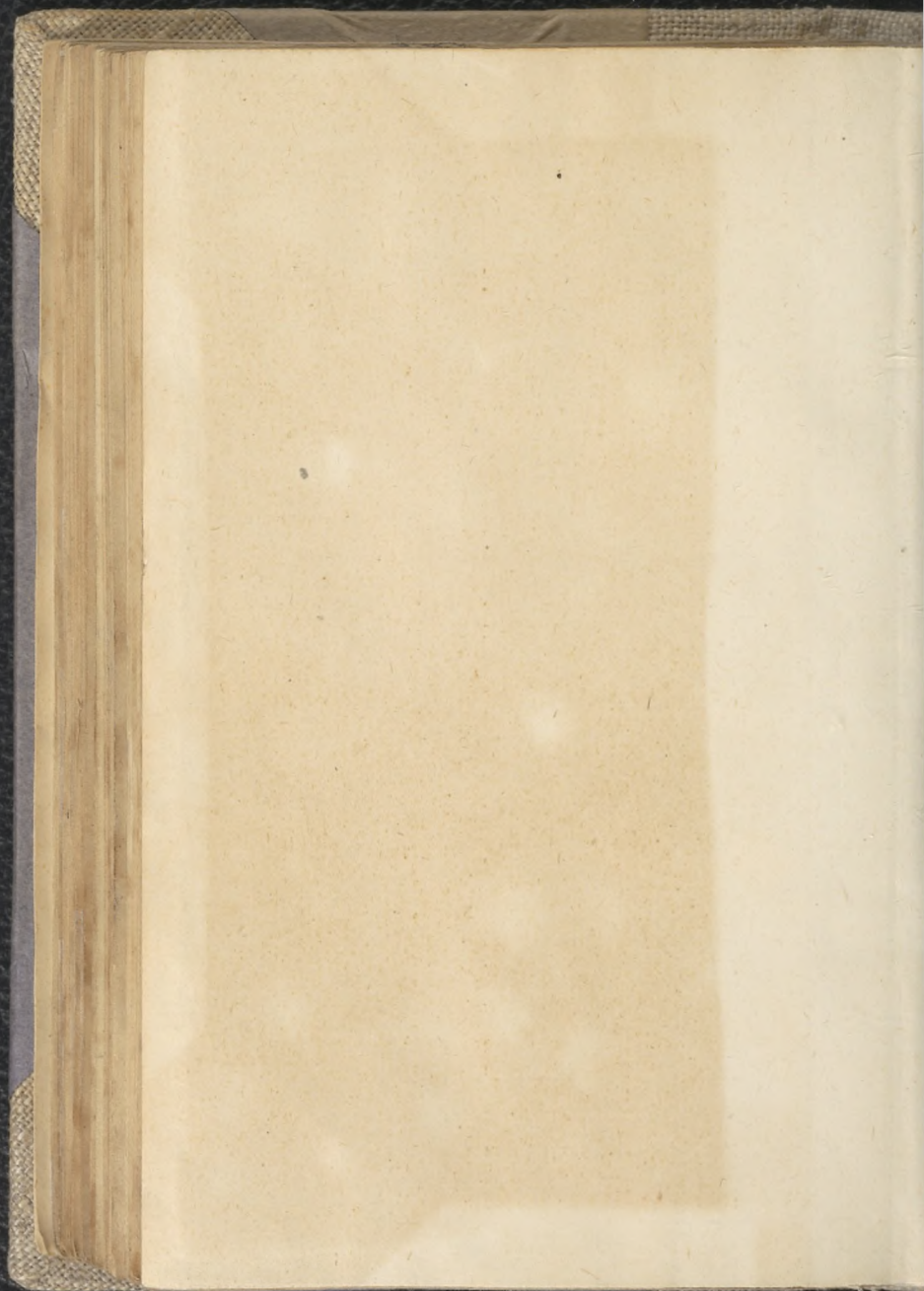
BIBLIOTEKA I CZYTELNIKA  
\*  
2280  
Prus. B. M.  
Prusław  
28. IX. 54

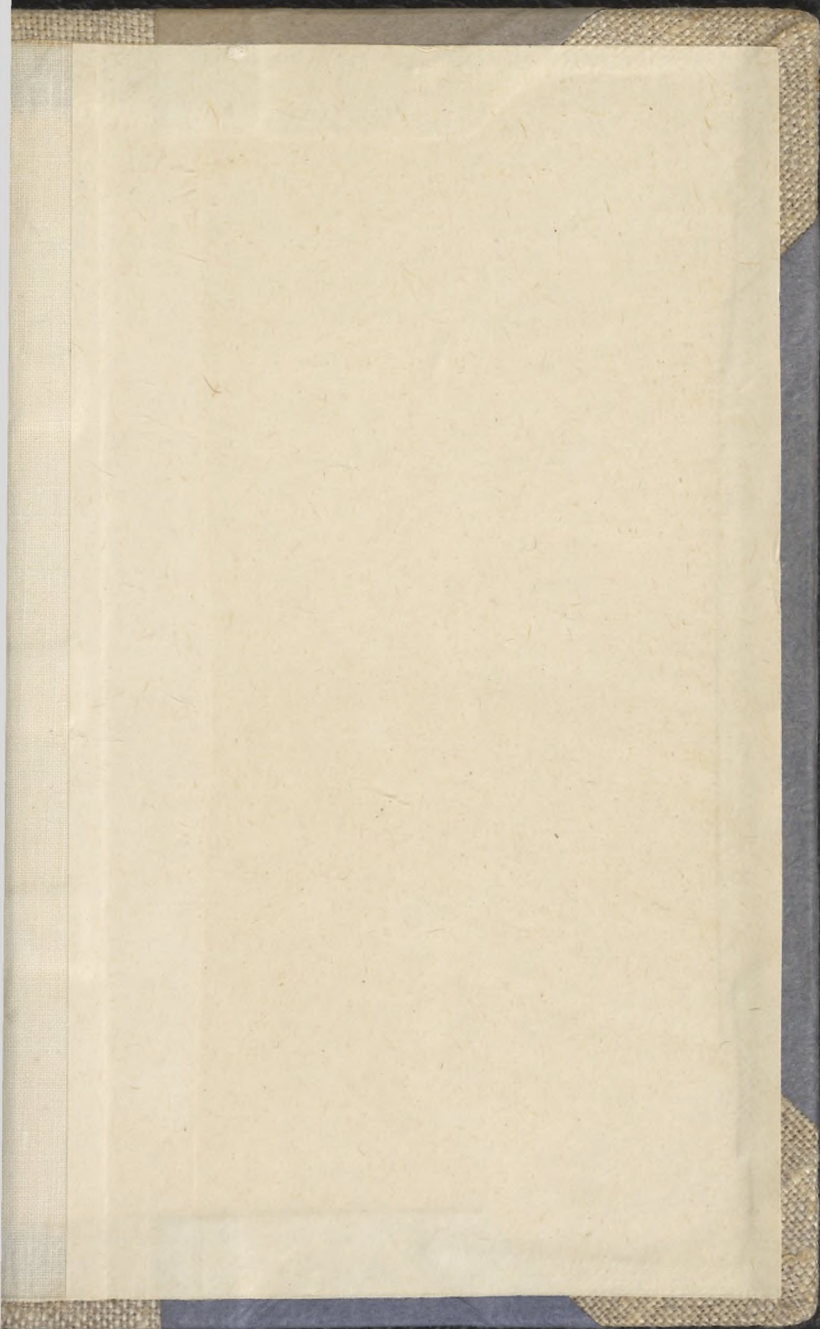
BIBLIOTEKA  
WARSZAWY  
KOTARSKI  
5845













153413

---

---